

MARTYNA GOSZCZYCKA



POTWÓR
Z DAMANOR



WĘDROWCY MESTYRII
TOM I

Martyna Goszczycka

Potwór z Damanor

Wędrowcy Mestyrii - Tom I

Ridero

2021

Redakcja: Karolakowo.pl Justyna Karolak
Korekta: Zyszcak.pl Paulina Zyszcak
Ilustracje: Łukasz Poller, Łukasz Ciżmowski

© Martyna Goszczycka, 2021

© Łukasz Poller, projekt okładki, 2021

ISBN 978-83-8189-688-7

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

| | |
|------------------------------------------------|-----|
| Przedślowie | 6 |
| Rozdział I | 10 |
| Rozdział II | 32 |
| Rozdział III | 60 |
| Rozdział IV | 88 |
| Rozdział V | 104 |
| Rozdział VI | 126 |
| Rozdział VII | 139 |
| Rozdział VIII | 162 |
| Rozdział IX | 181 |
| Rozdział X | 204 |
| Rozdział XI | 238 |
| Rozdział XII | 274 |
| Rozdział XIII | 285 |
| Rozdział XIV | 319 |
| Rozdział XV | 336 |
| Rozdział XVI | 357 |
| Rozdział XVII | 389 |
| Epilog | 425 |
| Słownik | 435 |
| Cykl Mestyrii | 437 |
| Rasy i mieszkańcy | 438 |
| Krainy i ich bogowie | 439 |
| Miasta, wsie i inne istotne lokalizacje: | 440 |
| O autorce | 441 |

PATRONI MEDIALNI



KAROLAKOWO

NatBlue

RW2010

Przedślowie

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki,

zanim zanurzyicie się w lekturę powieści, proszę – pochylcie się nad tymi kilkoma zdaniami. Nie mogłabym bowiem przekazać tego tekstu w Wasze ręce i nie wspomnieć o osobach, które do wydania tej książki się przyczyniły, pośrednio lub też bezpośrednio.

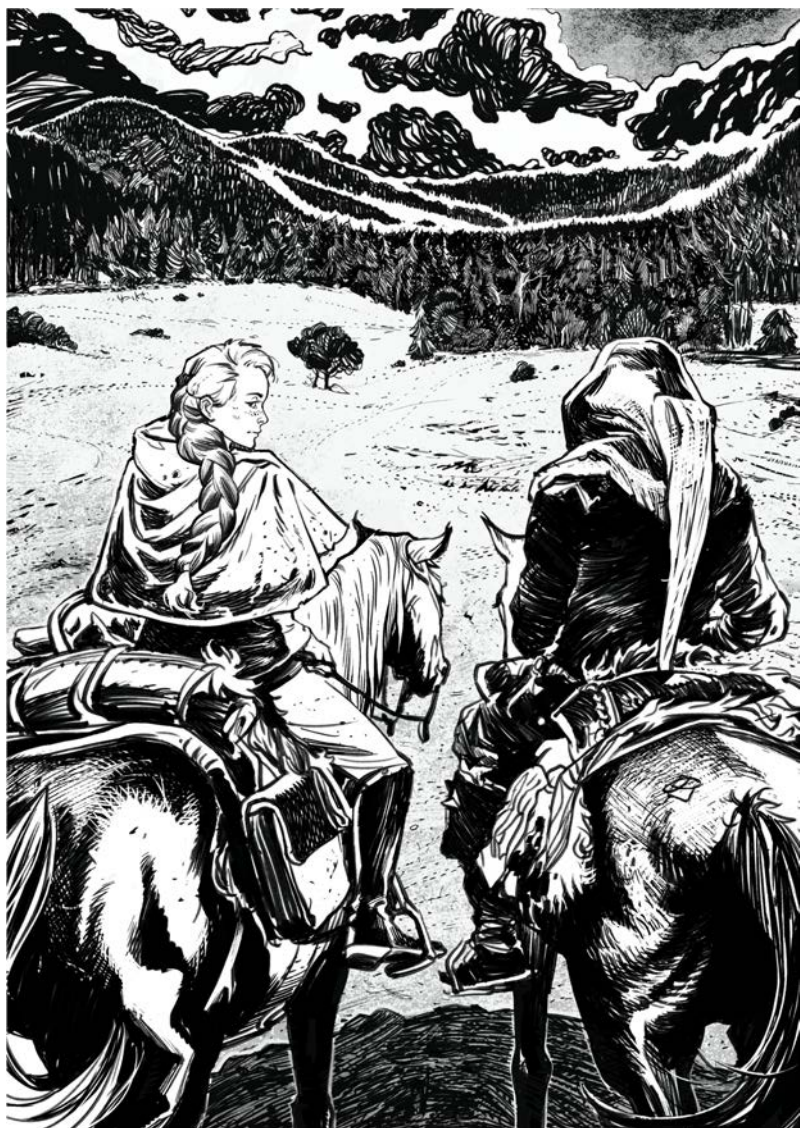
Po pierwsze chciałam podziękować mojej redaktorce, Justynie Karolak, która pomogła mi doprowadzić ten tekst do stanu, w jakim obecnie go widzicie. Współpraca z Justyną była dla mnie niezwykle doświadczeniem. Od razu znalazłyśmy wspólny język, jakbyśmy znały się od lat. Wiele się dzięki niej nauczyłam i każdemu pisarzowi życzę tak wspaniałego redaktora: wnikliwego, sumiennego i niezwykle życzliwego. Sobie zaś życzę, by moja współpraca z Justyną trwała tak długo, jak to możliwe, a nasza znajomość utrzymywała się przez całe lata.

Po drugie: w przedmowie nie mogłabym pominąć moich bliskich, którzy być może nawet nie wiedzą, ile im zawdzięczam. Trzeba Wam, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, wiedzieć, że ten pierwszy tom cyklu o Potworze z Damanor powstawał w bardzo trudnym dla mnie czasie, którego nie przetrwałabym

bez moich rodziców oraz siostry. Ich wsparcie było dla mnie nieocenione.

Po trzecie i najważniejsze: dedykacja. W moim życiu nie ma drugiego człowieka, który zasługiwałby na tę dedykację tak bardzo jak mój tata. Jestem przekonana, że gdyby nie on, nigdy nie napisałabym żadnego tekstu. To on zaszczerpił mi miłość do książek, gdy jako dziecku czytał *Hobbita* do snu, tym samym wprowadzając mnie w niezwykle, pełen magii świat fantastyki. To wieczorne czytanie wspominam wielokrotnie, choć odbywało się lata temu. Dlatego też sądzę, że zarówno ta, jak i każda kolejna książka, jaką jeszcze napiszę, powstaje w pewnym sensie właśnie dzięki mojemu tacie.

Mojemu tacie



Rozdział I

1365

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dwójka wędrowców wjechała konno na rozległe wzniesienie. Wiatr targał połami ich płaszczy. Warkocz kasztanowych włosów podskakiwał za plecami dziewczyny jadącej na białym wierzchowcu. Obejrzała się przez ramię: szachownica łąk i pól ginęła już przy horyzoncie. Cirem – miasto, w którym oboje się wychowali – jeszcze wczoraj znaczyło swoje położenie zarysem strzelistej wieży świątyni Mestyrii, a dziś przestało być widoczne. Dziewczyna westchnęła cicho. Opuszczała Vaspern z ciężkim sercem.

Kątem oka zerknęła na towarzysza. Chłopak poklepał gniego wierzchowca po grzbiecie, po czym podrapał się po rzadkim zarostcie. Spojrzeniem piwnych oczu potoczył po malującym się w oddali gęstym borze porastającym granicę Caelterry. Znad królestwa tenare napływały ciemne, skłębione chmury, które przysłaniały oblewające się czerwienią słońce. Młodzieniec raptem zamrugał i przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Irvette? Jak twoja ręka?

Uspokoila konia, po czym podwinęła prawy rękaw jasnej bawełnianej koszuli. Opatrunek z nasiąkniętej olejkami tkaniny

ciasno otaczał jej przedramię, poczynając od łokcia, a kończąc na nadgarstku.

– Bez zmian – odrzekła obojętnie i spojrzała na ciągnące się przed nimi tereny. – Bardziej obawiam się tego, jak potraktuje nas pan Silvaru.

– Przecież mówiłem ci już, że...

– Od wielu cykli utrzymuje bardzo dobre stosunki z twoim ojcem. Wiem, Wallace. Co nie znaczy, że przyjmie nas z otwartymi ramionami.

– Przyjmie – zapewnił ją towarzysz. – To nasza ostatnia deska ratunku.

Irvette dotknęła zabandażowanej ręki.

– Tenare nienawidzą czarnej magii.

– Może właśnie dlatego będą wiedzieć, jak jej zaradzić. Iv, czy mój ojciec kiedykolwiek cię zawiódł? Nie wysyłałby cię do pana Silvaru, gdyby nie wierzył, że otrzymasz od niego pomoc.

– Próbowaliśmy już wszędzie. – Wzdrygnęła się od zimnego podmuchu wiatru.

– Nie tutaj. Pospieszmy się, Iv. Nie mamy czasu do stracenia.

Wallace spiął konia i popędził w dół łagodnego zbocza.

Irvette opuściła rękaw, narzuciła kaptur na głowę i wzięła głęboki wdech. Bolesne uklucie sprawiło, że zacisnęła zęby. Nie wyznała przyjacielowi, że coraz trudniej jej się oddycha. Nie wspomniała o palącym bólu promieniującym spod bandaża na całe ramię i dłoń, którą z wielkim wysiłkiem utrzymywała wodze. Odczekała chwilę, cmoknęła na wierzchowca i podążyła za towarzyszem.

Na skraj gęstego lasu dotarli, gdy zapadł zmierzch. Księżyc wyrzał zza gęstych chmur, dzięki czemu nie przemieszczali się w całkowitej ciemności. Zsiedli z koni i prowadzili je borem, wytężając wzrok. W półmroku poruszali się gnuśnie, a konary utrudniały dopływ księżycowego, srebrzystego blasku, lecz po niedługiej wędrówce wkroczyli na obszar, gdzie drzewa stopniowo ustępowały miejsca szerokiej polanie. Na jej skraju, na wzniesieniu ujrzeli wielkie zabudowanie.

Fort tenare – postawiony na planie kilku połączonych prostokątów, wyposażony w szeroką wieżę i otoczony murem – był surowym kompleksem z masywnych kamiennych bloków. Wysokich, idealnie gładkich i pokrytych mozaiką różnych odcieni szarości, o których Irvette wiedziała, że powstały w niezwykłym procesie. Tenare za pomocą magii potrafili zmieniać konsystencję kamieni i skał, i przeistaczać je w gęstą masę, by potem na nowo ją utwardzać – w oczekiwanych już kształtach. Sama nie miała jeszcze okazji takich kształtów zobaczyć, lecz słyszała opowieści o budowlach, które całe formowano z tej podatnej miazgi – bez konieczności odlewania i stawiania tradycyjnych bloków, przez co wyglądały jak starannie wykute w skałach.

Dwóch strażników właśnie zamykało wysokie wrota. Jeden z nich dzierżył pochodnię.

– Stójcie!

Dziewczyna skrzywiła się, usłyszawszy rozkazujący ton Wallace'a. W ten sposób nie mógł wyrzucić dobrego wrażenia. Choć w miarę upływu czasu ludzie i tenare darzyli się coraz większym szacunkiem, nadal dochodziło do napiętych sytuacji pomiędzy nimi. Irvette rzadko doświadczała ze strony długowiecznej rasy spojrzeń innych niż podejrzliwe lub oceniające.

Kupców pojawiających się w Cirem łączyły z ludźmi raczej chłodne stosunki.

Strażnicy czekający przy wrotach nie byli wyjątkiem. Dwaj wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni patrzyli z jawną niechęcią na nią i Wallace'a. Odziani w skórzane zbroje ze stalowymi elementami, z halabardami w rękach prezentowali się nieprzystępnie, by nie powiedzieć, że wrogo. Trójkątne twarze barwiły się na pomarańczowo w świetle pochodni, chociaż naturalnie ich skóra miała szarawy odcień.

— Kto idzie?! — warknął jeden ze strażników, podczas gdy drugi zrobił kilka kroków do przodu i wyciągnął przed siebie pochodnię.

Irvette nie miała problemu ze zrozumieniem prostego ternarskiego, choć nauki języka, jakich doświadczyła podczas terminu u babki zielarki, koncentrowały się — zgodnie z wytycznymi starszyny cechu — głównie na zapisie i odczycie receptur.

— Wallace Bennett i Irvette Castire — oznajmił chłopak. — Jesteśmy tu z posłannictwa Connella Bernetta, rajcy wolnego miasta Cirem, mojego ojca. Chcemy się widzieć z naczelnikiem.

Jej przyjaciel przemawiał z idealnym akcentem. Jako syn rajcy miejskiego i bankiera, jednego z najbogatszych przedstawicieli mieszczaństwa zachodniej części Vaspern, miał szczęście, bo kształcono go w sztuce zarówno pisania i czytania, jak i rachowania czy właśnie języka obcego. Ojciec zatrudniał najlepszych nauczycieli, chcąc przygotować Wallace'a do prowadzenia interesu, przy którym ten już od dłuższego czasu mu pomagał.

Strażnicy milczeli chwilę, przybrawszy kamienne wyrazy twarzy. Ten stojący bliżej pochylił się nieznacznie i przypatrzył obliczu niższego od siebie Wallace'a. Chłopak zdjął kaptur i się-

gnął za płaszcz, by z przypiętej przy biodrze niedużej sakwy wydobyć zwinięty pergamin. Tenare podał pochodnię drugiemu strażnikowi, odebrał od chłopaka papier i rozwinął go długimi palcami. Kiedy przestudiował treść dokumentu, powoli skinął głową.

– Możecie wejść.

– Masz nas zabrać do...

– Za mną! – zawarczał tenare.

Irvette zmierzyła przyjaciela wzrokiem. Od dawna uważała, że pod wpływem ojca Wallace stał się nieznośnie apodyktyczny.

Tenare zamknęli za nimi wrota i poprowadzili przez cichy dziedziniec. W małych okienkach wieży migotały światła wewnętrznych pochodni, jakiś przemykający w półmroku tenare spoglądał podejrzliwie w kierunku przybyszy. Uwiązali konie u wejścia głównej budowli, a worki z niedużym ekwipunkiem i bardzo skromnymi zapasami zabrali ze sobą. Dostali się do długiego korytarza zwieńczonego po obu krańcach wysokimi drzwiami, zza których dobiegały stłumione głosy. Jednak większą jego część zajmowały schody z gładko uformowanego kamienia. Strażnik poprowadził ich na górę, do kolejnych drzwi, w które uderzył kilka razy wierzchem dłoni. Otrzymawszy pozwolenie, wprowadził gości do środka.

Nieduży, kwadratowy pokój wypełniało niewiele mebli. W kącie stało łóżko na nogach ze splecionych grubych gałęzi. Wykonane w podobny sposób biurko, jednak o gładkim blacie, znajdowało się zaraz przy wejściu. Tuż przy łóżku mieściła się skrzynia, a przy ścianie z małym oknem – stół i dwa krzesła.

Za biurkiem siedział kolejny tenare. Opromieniał go blask świec bijący z kinkietu, jednak oblicze zachowało lekko siny ko-

loryt. Miał smukłe ramiona, ubrany był w szatę z wysoko postawionym kołnierzem, utkaną z materiału zabarwionego na fioletowo. W obwisłych uszach tkwiły białe ciężkie obręcze. Duże oczy mrużyły się, kiedy lustrował gości.

Strażnik przedstawił ich i pozostawił pergamin na biurku, po chwili wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Ten, który – jak domyślała się Irvette – był naczelnikiem fortu, szybko przestudował treść dokumentu, po czym zmierzył Wallace’a badawczo.

Między Cirem a O’rior, które spajały szlak handlowy biegnący przez tereny Caelterry i dużą część Vaspern, nierzadko krążyli posłowie. Na skutek swego dogodnego położenia Cirem rozwijało się prężnie, aż zyskało niezależność od prowincji Umbros oraz jej diuka i przeistoczyło się w wolne, suwerenne miasto.

– Jako posłannik rady miejskiej i reprezentant Cirem proszę o udzielenie nam na tę noc odpowiedniego schronienia – zażądał chłopak.

Naczelnik wykrzywił usta w nieładnym grymasie.

– Kim jest twoja towarzyszka?

Irvette przełknęła niepokój. Wyprostowała się. Chociaż cisnęło jej się na usta kilka zdań, uznała, że bezpieczniej będzie się nie odzywać. Akurat jej wymowa tenarskiego pozostawiała wiele do życzenia. Przekonała się o tym nieraz w czasie sporadycznych kontaktów z kupcami.

– Ma do pana Silvaru wiadomość, którą może przekazać mu tylko osobiście – odparł Wallace.

– Czyżby? – Tenare uśmiechnął się pod nosem. – Wydaje mi się, że rozumiem. Niestety muszę cię zmartwić, pani – zwrócił się do Irvette. – Nie mamy tu odpowiednich warunków dla kobiety.

Wallace odchrząknął, a Irvette zdusiła pragnienie zapytania, co tenere miał na myśli.

— Nic innego nie mogę wam zaoferować — kontynuował naczelnik. — Prześpicie się w kwaterze na dole wschodniej wieży. Tej nocy powinna być pusta. Chyba że panienka ma coś przeciwko zalatującym potem siennikom.

Tym razem dziewczyna potrzebowała chwili skupienia. Naczelnik mówił szybko i za dużo naraz. Kiedy jednak dotarł do niej sens jego wypowiedzi, obdarzyła go chłodnym spojrzeniem i pokręciła głową.

Zostali przekazani pod pieczę strażnika — tego samego co wcześniej. Zabrał ich do ustalonego miejsca. Mrok na dziedzińcu zgęstniał, księżyc schował się za chmurami.

Na dole wieży znajdował się ciasny pokoik. Z ledwością mieściły się w nim dwie wysłużone prycze, choć upchnięto doń jeszcze skrzynię, a do ściany przytwierdzono drewniany wieszak na broń. Strażnik zapalił dla nich pojedynczą pochodnię, następnie zostawił ich samych, rzuciwszy jeszcze przed wyjściem, że oporządzi ich konie, by rano były gotowe do drogi.

Irvette odetchnęła, gdy wreszcie zostali we dwoje. Rzuciła na ziemię ekwipunek i zdjęła płaszcz. Usiadła na skraju łóżka. Potworny odór potu unoszący się w całym pomieszczeniu nie był jej straszny. W swojej zielarskiej karierze leczyła niejedną cuchnącą, ropiejącą ranę. Podejrzewała, że Wallace znosi te warunki z większym od niej trudem. W zamyśleniu obserwowała, jak chłopak sprawdza zapasy.

— O co tu chodzi? — zapytała wreszcie. — Raptem zmienili swoje nastawienie.

Twarz chłopaka przybrała ciepły odcień, ale Irvette nie była pewna, czy to pąs, czy tylko poświata pochodni.

– Widzisz, wśród tenare panuje pewien zwyczaj – podjął, nie patrząc na nią. – Zwierzchnicy sąsiadujących ze sobą prowincji czasami przekazują sobie pewnego rodzaju prezenty. Gdy powiedziałem, że chcesz się spotkać z panem Silvaru osobiście, naczelnik musiał uznać...

– Że jestem pewnego rodzaju prezentem?

– Wcale nie miałem zamiaru nic takiego sugerować. – Wallace odwrócił się do niej; na jego twarzy malowało się zakłopotanie. – A jednak to nieporozumienie okazało się dla nas korzystne.

Kiedy usiadł na drugim łóżku, naprzeciwko niej, spojrzała na niego poważnie.

– Czemu którykolwiek tenare chciałby osiąść ludzką kobietę? Minęło ponad sto cykli od Wielkiej Wojny, lecz wielu nadal nami gardzi.

– Z tego samego powodu, dla którego strażnicy Cirem opowiadają o przygodach z kobietami tej rasy. To nie uwielbienie. To oznaka największej pogardy.

Ta odpowiedź wywołała nieprzyjemne obrazy w jej głowie. Natychmiast je odgoniła.

Wallace zdjął buty i brokatową kamizelkę – przykurzoną, ale nadal prezentującą się wyśmienicie.

– Naczelnik zapewne przyjął, że skoro przestrzegamy ich obyczajów, to chcemy okazać im wielki szacunek.

– A zwierzchnik? – zapytała dziewczyna. Szybko ściągnęła wełniane spodnie, a zostawszy w samych pantalonach przed kolano, wsunęła nogi pod drapiący koc. – Jesteś pewien, że jeśli

będzie w stanie udzielić mi pomocy, nie zażąda pewnego rodzaju zapłaty?

Chłopak skromnie odwrócił wzrok. Bez zawstydyzenia więc zdjęła koszulę, pod którą miała już tylko halkę. Nakryła się kołosem pod ramiona i spojrzała w kąt, kiedy Wallace również zaczął rozbierać się do snu.

— Mój ojciec zna się z panem Silvaru od dawna. Sam spotkałem go tylko kilka razy, ale i ja odniosłem wrażenie, że jest godny zaufania. Nie musisz się obawiać, z jego strony nie spotka cię żadna krzywda.

Zanim położył się do łóżka, wygasił pochodnię. Oboje przez pewien czas milczeli, aż w końcu dziewczyna przerwała ciszę:

— Czy myślisz, że gdyby zobaczyli moje skażenie, zabili by nas?

Dotknęła owiniętego zastygniętą tkaniną przedramienia. Patrzyła w ciemność. Minęła chwila, nim chłopak zdobył się na odpowiedź:

— Nie wiem.

— Z pewnością nie wpuściliby na swoje ziemie kogoś takiego jak ja. Nie dość, że człowiek, to jeszcze naznaczony czarną magią.

— Irvette, dopadło cię coś niedobrego, ale nie jesteś czarnym magiem — pospieszył z odpowiedzią, mocno ścisząc głos. — Nie masz tego typu zdolności, nie jesteś niebezpieczna dla innych.

— Tego ostatniego nie możemy wiedzieć — odparła sucho, po czym przewróciła się na bok. — Powinniśmy się przespać. Dobrej nocy, Wallace.

Collen, Najwyższy Kapłan Caitriony, mocniej naciągnął kaptur, by osłonić się przed oślepiającym srebrzystym blaskiem. Bijące zza oszklonej niszy światło pochłaniało całe prezbiterium. Proste kolumny i ołtarz z marmuru o złotym żyłkowaniu mieniły się w odbłaskach. Kryjące się w pozostałych niszach posągi przedstawiały różne etapy walki kobiety ze smokiem. Raz w ludzkiej postaci, raz jako tenare, odziana w misternie wyrzeźbioną szatę, dzierżyła w dłoniach piękny kostur zakończony szlachetnym kamieniem, który tkwił pośrodku półkola odwzorowującego sierp księżycy. Wykuta w marmurze broń została wyobrażona tak samo w przypadku każdego posągu, lecz kryształ miały różne odcienie.

Collen cofnął się o krok. Próbował dostrzec prawdziwą broń spoczywającą za szkłem. Przed jego oczami pojawiły się czarne plamy. Za długo patrzył w centrum blasku. Złożony na złotej poduszce oręż nie był już tak piękny jak jego odpowiedniki z marmuru. Uległ zniszczeniu ponad tysiąc cykli temu, na początku ery. Ukośne rozcięcie — płaskie, jakby ktoś przepołowił kostur szybkim ruchem miecza — dzieliło broń na dwie nierówne części. Jedna z nich, dłuższa, zakończona była kryształem otoczonym przez sierp księżycy wyszczerbiony na brzegach. Druga stanowiła jedynie odłamek uchwytu, który mógł służyć za rękojeść korda, gdyby przytwierdzić do niego odpowiednie ostrze. Obie wykonano z szarego, pokrytego ciemniejszymi plamkami tworzywa o śliskiej, odbijającej światło powierzchni.

Collen zamknął oczy i zamyslił się. Blask pochodził od krótszej części przelamanej broni, podczas gdy dłuższa nie dawała żadnych oznak przebudzenia mocy. Zjawisko to zaczęło się

już ponad fazę temu. Od tamtej pory fragment kostura na przemian jarzył się jasnym lśnieniem i gasł na kilka dni.

Kapłan usłyszał kroki. Odwrócił się od blasku. Przez nawę wypełnioną dwoma rzędami mahoniowych ławek zmierzał ku niemu akolita. Zbliżywszy się do ołtarza, klęknął na jedno kolano i pochylił głowę, po czym wyprostował się szybko, z wyraźnym zniecierpliwieniem na twarzy.

– Drinel Nigrasval już czeka – oznajmił.

– Wyruszy za dwa dni. Musimy przygotować replikę, zanim zabierze stąd prawdziwą broń.

– Czy wierni nie zasługują na to, by znać prawdę?

Collen z naganą zmierzył młodego akolitę.

– Chłopcze, czy zdajesz sobie sprawę, czego świadkiem jesteś? Uśpiony na ponad tysiąc cykli oręż samej Caitriony na nowo budzi się do życia. Budzi się tylko w jednym celu: by znaleźć następcę godnego dzierżenia tak wspaniałej broni. Niepotrzebne nam zamieszanie, jakie mogłaby uczynić taka wiedza, przynajmniej dopóki broń nie trafi w ręce wybrańca.

Młodzieniec pokornie pochylił głowę, a kapłan spojrział ku wyjściu ze świątyni. Wrót strzegły dwa posągi Mestyrii – bogini wszechrzeczy; tej, która pobłogosławiła Caitrionę bronią zesłaną z Księżyca. Surowym wzrokiem spoglądały na każdego, kto opuszczał budynek, by wydostać się na rozległe skaliste tereny ciągnące się u podnóży Szkarłatnych Gór. Pierwszy z posągów przedstawiał boginię jako piękną kobietę o smukłych mięśniach i długich włosach, odzianą w zwiewne szaty, drugi zaś jako istotę, która odpowiadała wyobrażeniom tenare – była to postać niepodobna żadnej znanej rasie, pozbawiona uszu i niemal bez nosa, a jednak kobieca i atrakcyjna,

o wielkich oczach oraz perfekcyjnych kształtach twarzy i ciała. Świątynię przygotowano bowiem w taki sposób, by wierni czuli się w niej dobrze bez względu na swoją przynależność rasową. Jedynie Luxanie nie przybywali tu z pielgrzymkami. Wszelkie oblicza Mestyrii ich raziły — nie czcili tej bogini — broń uznawali zaś za fałszywą, zresztą nawet pośród wyznawców Mestyrii zdarzali się tacy, którzy podawali w wątpliwość autentyczność jej oręża.

— Wyrocznia z Tegglur pomoże mu znaleźć następcę — oznajmił po chwili Collen.

— Czcigodny, jaką mamy pewność, że broń powierzy się w odpowiednie ręce?

— Tylko odpowiednie ręce mogą nią władać. — Poklepał akolitę pokrzepiająco po ramieniu i wyprowadził go poza bijący od ołtarza krąg światła. — Jak tylko Drinel ją stąd wyniesie, ponownie otworzę świątynię dla pielgrzymek.

Wallace i Irvette zostali odprawieni w sposób, który sobie cenili — już przed świtem konie były gotowe do podróży, czyste, napojone i nakarmione, objuczone w sakwy z jedzeniem i dodatkowe koce — ale i wzdrygali się na myśl o tym, dlaczego są tu aż tak dobrze traktowani. Naczelnik przez cały czas dwuznacznie się uśmiechał, co Irvette przyjmowała na zimno, ale z trudem. Wpadła nawet na pomysł, by pod pretekstem podziękii za gościnę przygotować mu mocny napar z liści senesu. Napój ten potrafił wywołać silną biegunkę. Jednak Wallace wybił jej ten nieczy zamiar z głowy.

Opuścili fort o świcie, tak jak zaplanowali. Trzecia faza pory deszczowej nie była okresem odpowiednim do podróżowa-

nia. Gdy podążali piaskową drogą ciągnącą się przez równiny — otoczone, a czasami przecinane borem — wielokrotnie musieli szukać schronienia przed deszczem czy zimnym wiatrem. Dotarcie do celu zajęło im więcej czasu, niż początkowo zakładali.

Późnym popołudniem, dwie świece od pierwszego postoju, ich oczom ukazała się ogromna pieczara. W łagodnym wzniesieniu na skraju lasu wydrążone było wejście do zwieńczonego owalnym sklepieniem tunelu. Wlot jaskini okalały splecione ze sobą gałęzie, jak gdyby sama natura zdecydowała się ułożyć je w określony wzór. Kolumny po obu stronach, podobnie do ścian tamtego fortu, były podłużnymi blokami z kamiennej masy pokrytej mozaiką szarości. Wyryte zostały na nich tenarskie słowa.

Irvette widziała tunele tenare jeszcze jako dziecko, kiedy to często podróżowała z rodzicami kupcami. Jednak po ich śmierci, gdy miała jedenaście cykli i trafiła na termin do babki, osiadła w Cirem. Potem przez bardzo długi czas nie wystawiała nosa poza miasto, chyba że w celach zbieractwa. Teraz, kiedy prowadząc wierzchowce, wkraczali do wnętrza groty, ogarnęła ją melancholia. Wspomnienia o rodzicach, dawno już pogrzebane, właśnie powróciły, by ścisnąć jej żołądek.

Zaraz po wkroczeniu do podziemnego przejścia natknęli się na wartownię. W kamieniach i ziemi po obu stronach tunelu zostały wydrążone dwie siedziby. Przy wejściach do tych siedzib kręcili się tenare, jedni odziani w skórzane zbroje ze stalowymi elementami, inni zaś w barwione na różne odcienie fioletu kaftany z wysokimi kołnierzami. Z podróży z czasów dzieciństwa Irvette zapamiętała wartownie nieco inaczej. Nie zajmowały tak wiele przestrzeni i przebywało w nich znacznie mniej straż-

ników. Jednak wtedy przemierzała tunelami podziemia Vaspurn, a teraz przebywała na terenie Caelterry — rozległego królestwa tenare.

Wyszedł im naprzeciw jeden ze strażników odzianych w fioletowe szaty. Pozostali, niby zajęci swoimi sprawami, obserwowali. Irvette zerknęła na rękaw koszuli, by sprawdzić, czy szczelnie zakrywa zabandażowaną rękę, coraz bardziej dającą się we znaki.

Tenare wymienił z Wallace'em kilka podstawowych zdań — chciał wiedzieć, kim oni są oraz dokąd i w jakim celu zmierzają. Chłopak odpowiadał z uniesioną wysoko brodą, co, jak zauważyła Irvette, z chwili na chwilę coraz bardziej drażniło strażnika. Obawiała się, że ich prosta rozmowa przerodzi się w ostrą kłótnię, jednak wtedy Wallace przekazał rozmówcy dwa dokumenty. Jeden z nich był tą samą wiadomością, którą wcześniej przedstawił w formie, z podpisem i pieczęcią jego ojca. Treść drugiego pergaminu pozostawiała dla Irvette tajemnicą, chociaż domyślała się, czego może dotyczyć. Nakreślił ją naczelnik fortu, a Wallace nie zgodził się, by ją przeczytała. Na początku był tylko zakłopotany, ale im bardziej nalegała, tym mocniej się sprzeciwiał. Miała mu za złe, że traktuje ją jak dziecko, jednak ustąpiła. Uznała, że nie mają czasu na roztrząsanie tak błahych problemów.

Nabrała przekonania co do treści dokumentu, gdy tylko rozmawiający z Wallace'em tenare skończył go czytać i przeniósł na nią badawcze spojrzenie. Zmierzył ją jak handlarz oceniający bydło i uśmiechnął się wąskimi szarymi ustami. Zacisnęła zęby, by nie rzucić w jego stronę steku przekleństw. Splunęłaby mu pod nogi, ale taki pokaz pogardy wywołałby tylko niepotrzebny

konflikt. Na ten czas musiała zaakceptować, jak ją odbierano, tym bardziej że niosło to ze sobą pewne korzyści.

Przepuszczono ich dalej, wyposażono w pochodnie oraz starannie wyrysowaną na pergaminie mapę podziemi. Wydrążone w ziemi tunele wzmocnione były łukami z kamiennej masy, zdobionymi w surowe, symetryczne wzory. Podłoże wyścielano gładkimi płytami, a w ścianach co pewien czas ujawniały się nisze, w których płonęły pochodnie lub otoczone kamiennymi konstrukcjami paleniska. Tam, gdzie nisz brakowało, światło dawały zwisające ze sklepienia lampiony. Na początku podróży nie korzystali więc z własnych pochodni, jednak im dalej w głąb, tym bardziej ściany przeistaczały się w lite skały, a źródła światła występowały coraz rzadziej.

Konie robiły się niespokojne, chociaż strop wisiał wysoko, a szerokość tuneli przywodziła na myśl aleje miasta królewskiego Vaspern, zdolne pomieścić trzy wozy kupieckie jadące obok siebie. Irvette zmartwiła się, że przerażone zwierzęta w końcu nie będą w stanie iść dalej. Wallace zapewnił ją jednak, że na ich podróż wybrał specjalne wierzchowce, nie pierwszy raz pokonujące podobne trasy.

Po długim odcinku drogi jedyne oświetlenie stanowił już tylko blask ich pochodni, które przezornie zapalili przy jednym z palenisk. Irvette była pod wrażeniem, że nawet w takich ciemnościach tenare nie zapomnieli o dekoracjach, które mimo że prymitywne, nadawały miejscu charakteru. Natykali się na liczne kolumny, wydrążone w skałach toporne płaskorzeźby, nisze z prostokątnymi ławkami i miejscami na rozbiecie obozu, a od czasu do czasu podziwiali ołtarzyki z figurkami tenarskiej Mestyrii.

Stracili poczucie czasu i nie wiedzieli, po upływie ilu świec zdecydowali się na postój. Zatrzymali się w jednej z obszernych nisz, bardziej przypominającej pieczarę. Wokół przygotowanego na ognisko kręgu stały trzy kamienne ławki. Obok jednej z nich czekało usypisko z drew.

Pozostawili wierzchowce u wylotu niszy, po czym rozpalili ognisko. Na stojaku w głębi pieczary wisiało kilka świeżych pochodni, więc gdy tylko posłużyli się starymi do wzniesienia ognia, porzucili je z zamiarem wymiany na nowe. Irvette usiadła na ławce i poruszyła zdrętwiałymi palcami. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma, i lękała się zajrzeć pod bandaż. Wallace szperał w jukach przy koniu, sprawdzając zapasy, jakie podarowali im tenare z fortu. Wtem do ich uszu dotarło odległe stukanie kopyt i ciche skrzypienie drewnianych kół.

Spojrzeli po sobie znacząco. Chłopak wsunął dłoń pod płaszcz i zacisnął palce na rękojeści szabli uczeptionej skórzanego pasa na biodrach. Irvette pokręciła głową.

– Założę się, że to jacyś kupcy. Pamiętaj, że jesteśmy na szlaku handlowym. I tak dziwię się, że do tej pory było tak pusto.

Okazało się, że miała rację. Po niedługim czasie wyłonił się konny wóz przykryty płócienną płachtą. Na kozle siedział ciemnoskóry mężczyzna ubrany w barwne szaty z bufiastymi rękawami. Miał przekrzywiony kapelusz. Czarny jak noc koń z oczami przesłoniętymi klapkami był znacznie spokojniejszy od ich wierzchowców. Na solidnej belce nad kozłem, w klatce lampionu tańczył płomień.

Irvette przywołała wspomnienia podróży z rodzicami. Ludzie na podziemnych szlakach zwykle byli wobec siebie bardzo

życzliwi i pomocni. Nawet w tunelach poza królestwem tenare czuli się wyobcowani, dlatego dodawali sobie wzajemnie otuchy, jak tylko mogli.

Dziewczyna wyszła więc kupcowi naprzeciw, zapytała go, dokąd zmierza, i zaproponowała, by zjadł razem z nimi. Wal-lace niechętnie przystał na jej pomysł. Mężczyzna musiał to zauważyć, lecz zdecydował się do nich dołączyć. Okazało się, że również podążał w kierunku O'rrior, chociaż nie planował się w nim zatrzymywać. Po kolorze skóry, nieco splaszczonym nosie oraz akcencie Irvette wywnioskowała, że kupiec pochodzi z Cesarstwa Luxy, choć z niezwykle łatwością posługiwał się językiem trzech królestw: Vaspern, Nivelos i Aestos. Wóz miał zapelniony towarami o rozmaitej wartości. Irvette podpytała go ostrożnie, czy nie obawia się napaści bandytów, podróżując w pojedynkę. Odpowiedział jej uprzejmie, że ta część szlaku handlowego na terenach Caelterry jest raczej bezpieczna, jedynie na pewnych odcinkach wymaga od podróżnego wynurzenia się na powierzchnię, czyli poza nadzorowane przez tenare tunele. Dodał jednak, że pod granicą Aestos planuje dla bezpieczeństwa przyłączyć się do kupieckiej karawany strzeżonej przez oddziały gildii. Irvette nie wspomniała o rodzicach, którzy nie posiadli wystarczającego bogactwa i wpływów, by do jakiegokolwiek należeć. Woląla nie zastanawiać się nad tym, czy ich losy potoczyłyby się inaczej, gdyby mieli taką możliwość.

Z wrzuconego między towary ekwipunku kupiec wyszperał imbryk, cynowe kubeczki i ususzone liście. Wkrótce wszyscy troje popijali przy ognisku herbatę, a mężczyzna dodatkowo poczęstował ich słodkimi miodowymi bułeczkami —

prysmakiem tenare, którego Irvette rzadko miała okazję próbować.

Oczywiście nie obyło się również bez uporczywych prób sprzedania im czegoś kosztownego. Dziewczyna z rosnącym zniecierpliwieniem przyglądała się Wallace'owi, który niestrudzenie opierał się nachalnym namowom. Kupiec właśnie pokazywał mu bransoletę o splocie ze srebrnych oczek i błyszczących szmaragdów.

— Śmiałem zasugerować, że będzie wspaniale wyglądać na pańskiej towarzysze. — Mężczyzna posłał dziewczynie uprzejmy uśmiech, lecz po tym, jak patrzyli na nią tenare, w odpowiedzi umiała tylko skrzywić usta w dziwnym grymasie.

Wallace tymczasem wyraźnie się rozpromienił.

— Spójrz, Irvette, szmaragdy będą ci idealnie pasowały do oczu. Jeśli tylko się zgodzisz, bym wręczył ci podarek...

Westchnęła przeciągle.

— Gdy będę potrzebować błyskotek, sama się nimi obdaruję. Nie chcę niczego za twoje pieniądze.

Jej przyjaciel zrobił urażoną minę, a kupiec odchrząknął, skrywając uśmiech.

— Pomyślałem, że mały prezent podniesie cię na duchu. I chciałem wynagrodzić ci... No dobrze już, dobrze. — Odepchnął pod naporem jej ostrego spojrzenia i z rezygnacją oddał bransoletę kupcowi.

Raptem Irvette zgiął niemiłosierny ból... Świat zawirował jej przed oczami i nim się zorientowała, leżała na twardej ziemi. Sapnęła, przewróciła się na plecy i chwyciła za przedramię — paliło tak, jakby włożyła je w ogień. Przycisnęła je do siebie i poczuła łzy w oczach. Zamrugła, by się ich pozbyć, ale nadal

nie odzyskała pełnej ostrości widzenia. Bardziej usłyszała, niż zobaczyła, że Wallace padł obok niej na kolano. Podczas gdy jedną dłonią przytrzymał jej głowę, drugą szybko podwinął rękaw jej koszuli.

— Nie... — jęknęła, lecz było już za późno.

Zdezorientowany kupiec zerwał się na równe nogi i wciągnął powietrze w krótkim okrzyku zdumienia. Irvette ponownie zamrugła, a gdy spojrzała w dół, na swą rękę, przeraziła się równie srogo co on. Czarne niczym smoła place, które przemieszczały się tuż pod skórą jak przelewająca się woda, wychylały zza bandaży. Teraz pochłaniały również sporą część dłoni i pełzły po łokciu w górę...

— Wallace, mój worek. Maść! — wysapała.

Chłopak zignorował osłupiałego kupca i rżące niespokojnie konie. Złapał za porzucony przy jednej z ławek worek, rozsznurował go i z cichymi przekleństwami na ustach zaczął grzebać w nim gorączkowo.

— Pomóż jej chociaż usiąść! — wrzasnął do kupca.

Mężczyzna drgnął na rozkazujący ton Wallace'a, jednak nie spełnił polecenia. Gapił się tylko bezmyślnie szeroko otwartymi oczami. Irvette ani trochę się temu nie dziwiła.

— Poradzę sobie — szepnęła.

Ale wcale nie czuła, by miała sobie poradzić. Atak piekącego bólu był silniejszy niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy powalił ją na ziemię i niemal wycisnął łyzy na policzki. Zgrzytając zębami, z trudem uniosła się na ramionach i oparła o ławkę.

Wallace wydobyl z worka niewielkie pudzderko oraz fiolkę z olejkim. Zanim ponownie kucnął u boku dziewczyny, rzucił kupcowi karcące spojrzenie. Mężczyzna tym razem ru-

szyl się z miejsca, ale tylko po to, by zacząć się w pośpiechu pakować.

Irvette próbowała rozwiązać bandaż, lecz ręce za bardzo jej się trzęsły i teraz to ona spotkała się z ganiącym wzrokiem Wallace'a.

— Ja to zrobię — oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu, przyciągając jej chore ramię w swoją stronę. — To nic wielkiego. Widziałem twoje skażenie wiele razy.

Nie odpowiedziała, wypuściła tylko przez nos świszczący oddech. Czoło chłopaka zrosiły krople potu. Gdy już poradził sobie z bandażem, usłyszeli, jak kupiec gramoli się na wóz, by po chwili popędzić konia.

Irvette zrobiło się zimno, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest jej przedramię. Całe pochłonięte przez czarne place, o suchej i nagrzonej skórze, w którą dawno już wsiąkła łagodząca wilgoć olejków i uprzednio nałożonej maści.

Wallace głośno przełknął ślinę, ale nic nie powiedział. Choć jego oblicze przepelniał strach, zaczął nakładać pachnącą lawendą maź ziołową o gładkiej konsystencji. Irvette stosowała ją zazwyczaj na poparzenia. Do tej pory sprawdzała się — do pewnego stopnia zwalczała nieprzyjemne odczucia rodzące się w obrębie dziwnego skażenia. Tym razem również, niemal natychmiast, zadziałała kojąco. Piekący ból, chociaż powoli, ustępował. Czarne place nie zmniejszały się jednak.

Przestali już słyszeć skrzypienie wozu i uderzenia kopyt o skalne podłoże. Kupiec zostawił ich bez pożegnania. Jego kubek z nadal parującą herbatą stał na ławce. Płomienie pełgające w kamiennym kręgu ogniska rzucały na ściany tańczące cienie.

Wallace delikatnie masował rękę dziewczyny, wcierając i wklepując masę. Ona patrzyła na zmarszczkę między jego oczami – wyraźnie wskazującą na to, że jest zdenerwowany. Wiedziała, że wcale nie miał ochoty dotykać jej skażonej skóry, chociaż tak bardzo starał się tego nie okazywać.

– Już wystarczy – oznajmiła słabo.

Jego ręce drgnęły.

– Na pewno?

Ledwo skinęła głową, a Wallace zabrał dłonie i wytarł je o spodnie. Kiedy zorientował się, co zrobił, zakłopotany odwrócił wzrok. Irvette nic nie powiedziała. Jeszcze trochę wirowało jej w głowie, więc starała się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Wallace podał jej fiolkę z olejkami i poszukał w worku płótna nadającego się na nowy bandaż.

Kiedy rękę Irvette otoczyła świeża, nasączona tkanina, oboje umilkli. Nie mieli ochoty komentować tego, co się stało. Nie był to pierwszy raz, kiedy choroba Irvette, czymkolwiek była, odstraszyła kogoś. Nie bez przyczyny kojarzone z czarną magią płace pojawiły się na jej ręce ponad fazę temu. Szukali już porady u dwóch magów mieszkających w Cirem, jednak wypchnięto ich za drzwi. Connell, ojciec Wallace'a, wysłał korespondencję do magów z jednej z akademii, z którymi utrzymywał sporadyczny kontakt, lecz odpowiedzieli mu krótką i znaczącą wiadomością. Polecili, by do czasu, aż się zjawią, trzymać Irvette w zamknięciu, w odizolowaniu. Pomimo że ojciec przyjaciela dokładnie opisał jej przypadek i zaznaczył, że nie tylko nie jest czarnym magiem, ale i nie posiada żadnych magicznych mocy, nie uwierzyli. Irvette nie miała ochoty dowiadywać się, co zamierzają z nią zrobić. Zbyt wiele słyszała

plotek na temat wyspy Belagos i prowadzonych tam eksperymentów.

Wallace, dorzucając drewek do ogniska, zerkał na nią przełotnie. Irvette odszukała na ławce kubek, który zostawił po sobie kupiec, i pociągnęła kilka łyków ciepłego płynu. Jej herbata wylała się wcześniej na skały. Dziewczyna powiodła wzrokiem wokół i spostrzegła leżącą u stóp ławki bransoletę ze szmaragdów. Kupiec musiał ją w emocjach upuścić. Podniosła błyskotkę i obracając ją w palcach, wgramoliła się na siedzenie.

— Hmm. Może przynajmniej ją sprzedam.

Rozdział II

Namir przywdział czepiec i przyczepił do niego zasłonę. Upewniwszy się, że wszystko jest na swoim miejscu, opuścił teren kryjówki – ruszył między monstrualne drzewa. Poszycie porastał gęsty mech, pnie o pokaźnych średnicach stały blisko siebie, a pnące się wysoko konary o mięsistych liściach przysłaniały zachmurzone niebo. Chociaż było samo południe, w lesie panował półmrok. Namir nie miał jednak problemów z przedzieraniem się przez te nieprzystępne tereny. Znał położenie niemal każdego drzewa, każdego ciernistego krzewu, niewielkiego bajorka, wzniesienia czy niebezpiecznego zagłębienia. Pomimo powłóczystego ubrania zwinnie wymijał przeszkody, nie potykał się, nie haczył o żadną gałązkę.

Zacisnął łańcuch amuletu w dłoni odzianej w rękawicę. W wisiorze, w małej szklanej kulce oprawionej w miedź odbijały się zniekształcone sylwetki drzew. Podniósł przedmiot do zasłoniętej twarzy. Wyszeptał słowo aktywujące. Kulka rozjarzyła się najpierw słabym blaskiem, a potem, po kilku oddechach, rozbłysła mocno. Połączenie zostało odebrane.

– Hasan? – odezwał się.

Skrzywił się na brzmienie swojego chrypliwego głosu, podobnie jak świecę temu, kiedy Hasan skontaktował się z nim,

by oznajmić swoją obecność. Zwykle wystarczało, że Namir tylko szeptał zaklęcia, więc gdy sytuacja zmuszała go, by przemawiał głośniej, odczuwał rozdrażnienie i wstręt.

– Jestem, jaśnie panie – padła odpowiedź; w tonie męczyzny dźwięczała nuta roztargnienia.

Namir po raz wtóry miał ochotę przypomnieć rozmówcy, że czasy, w których musiał go tytułować, już dawno minęły. Powstrzymał się, wiedząc, że i tak nic nie wskóra. Część duszy Hasana nadal żyła tragiczną przeszłością.

– Zgaduję, że czekasz już na mnie tam, gdzie zawsze.

– Właściwie ośmieliłem się podejść bliżej niż zwykle. Zaistniała pewna sytuacja...

Namir natychmiast poczuł w sobie wzbierający gniew.

– Chyba mi tu nikogo nie ściągnąłeś?! – wycodził.

– Bez obaw, jaśnie panie. Jak zawsze jestem nadzwyczaj ostrożny, jeśli chodzi o nasze spotkania. Dlatego właśnie uznałem, że bezpieczniej będzie porozmawiać z dala od szlaku. Jeszcze dalej niż zazwyczaj.

– Z powodu, jak mniemam, zaistniałej sytuacji?

Przez chwilę odpowiadało mu milczenie.

– Opowiem jaśnie panu, jak tylko się spotkamy.

Namir wypowiedział słowo wygłuszające, z irytacją ścisnął amulet i wepchnął go do kieszeni między fałdami luźnych spodni. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Jego spotkania z Hasanem, zaufanym kupcem, odbywały się z rzadka – zwykle co kilka faz. Namir, odkąd zaszył się w swojej leśnej kryjówce trzynaście cykli temu, rozkoszował się samotnością – jedynym stanem, który mógł zapewnić mu spokój. Oprócz kupca nie widywał nikogo. Mając wiele powodów do tego, by się ukrywać

i izolować, często myślał o rezygnacji również z tych spotkań. Mógłby się bez nich obyć. Bez problemu zdobywał w lesie pożywienie, zioła i wszystko, co niezbędne do przetrwania. Znał sposoby na skuteczne hodowanie roślin oraz przechowywanie jedzenia. Jednak nadal decydował się na schadzki z kupcem, by sprzedać mu swoje mikstury lub wymienić je za nieszczęśliwie potrzebne towary.

Wydostanie się pieszo z lasu zajęło mu nie więcej niż święcę. Znalazł się na wzniesieniu, którego zbocze porastały gęste zarośla i wystające korzenie. Rosnące na skraju osuwiska wysokie drzewa rzucały cień na podmokłą dolinę. Namir wcisnął nogawki w buty ze skóry, bo w porze deszczowej zielone polany pod lasem zmieniały się w grząskie mokradła.

Schodził zboczem bez wahania, ale i bez pośpiechu, wytężając przy tym wzrok. W oddali — tam, gdzie bagna powinny już ustępować pewniejszemu gruntowi — dostrzegł majaczące kształty. Mocą telekinezy wyrwał w miarę prosty, gruby korzeń i ruszył przez grzęzawisko, podpierając się nim. Jeszcze raz wyciągnął z kieszeni amulet, aktywowował go i poczekał na silniejszy rozbłysk.

— To ty, Hasanie? Widzisz mnie?

— Tak, jaśnie panie.

Wygluszył połączenie amuletów i wziął głęboki oddech. Przez krótką chwilę walczył z myślami. Każde spotkanie z Hasanem przywoływało wspomnienia z etapu życia, o którym wolałby nie pamiętać. Nagły podmuch wiatru załopotał ubraniem i przyniósł przenikliwe zimno.

Zazwyczaj kupiec czekał w połowie drogi pomiędzy szlakiem a borem. Teraz zatrzymał się bliżej lasu, a jednak wędrow-

ka ku niemu niebywale się Namirowi dłużyła. Po pokonaniu niełatwej trasy dopadł go jeszcze podlejszy nastrój.

Hasan krzątał się przy wozie, nie przywitał, odwracał wzrok. Jego wprawiony w długich podróżach wierzchowiec leniwie skubał trawę. Na obecność klienta, choć dobrze sobie znanego, zareagował niespokojnym parsknięciem. Częściowo odrzucona płócienna płachta ukazywała mnogość przeróżnych towarów. Kilka od razu wpadło Namirowi w oko.

— Masz tu ładne luxańskie dywany. — Głos ponownie zachrypiał mu w gardle.

Ciemnoskóry kupiec potrzebował dłuższej chwili, by zebrać się na odwagę i ukradkiem spojrzeć na zamaskowaną twarz. Poklepał po grzbiecie karosza, który nerwowo potrząsnął łbem.

— Śmiem zasugerować, że do niczego się jaśnie panu nie przydadzą. Za to mam całkiem spory zapas kawy.

— Skąd pewność, że w moim lesie nie ma wielkiego pałacu, Hasanie? — Namir wykrzywił usta pod zasłoną. Kupiec skulił ramiona. — Sam zdecyduję, czego mi potrzeba. Nie powinienes mieć co do tego żadnych zastrzeżeń.

— To oczywiste. Sądziłem jednak, że kawa najmocniej jaśnie pana zainteresuje.

Namir nie odpowiadał. Nie był zadowolony z faktu, że Hasan zna jego jedyne uzależnienie, które zresztą sam zapoczątkował. Ożywczy napój smakował cierpko, tak jak wspomnienia. Ale potrzeba zaspokojenia pragnienia stała się w pewnym momencie silniejsza niż ból z przeszłości, a jednocześnie wykwinny smak pozwalał zapominać o dawnych przeżyciach.

Ostatecznie zdecydował się na kilka bezwartościowych, ale przyciągających wzrok błyskotek oraz na dwa słoje kawy. Był zadowolony, że tym razem nie skusił się na więcej niepotrzebnych rupieci i że darował sobie jednak te dywany.

Oparł laskę z korzenia o wóz. Otworzył uwiązaną u bioder obszerną sakwę z płótna i zaczął z niej wyjmować fiolki z miksaturami oraz puzderka wypełnione maściami. Układał je w rzędkach obok skrzyń z towarami, a Hasan kiwał głową z uznaniem. Fiolki były owinięte paskami pergaminu i starannie opisane.

— To rzadkie specyfiki — oznajmił sucho Namir. — Składniki na nie niezwykle trudno wyhodować, a jeszcze trudniej znaleźć. Zresztą na pewno się orientujesz. Są warte więcej nawet niż kawa, a na pewno niż tych kilka błyskotek. Należy się jeszcze, hmm... trzysta pięćdziesiąt tenarskich numos.

Kupiec odczepił jeden z małych woreczków od pasa, wyjął z niego trochę srebrnych monet o awersie z wizerunkiem wielkiego drzewa, które było herbem rodu królewskiego tenare, a resztę wręczył Namirowi, upuszczając mieszek z niewielkiej wysokości na jego otwartą dłoń. Ten zważył sakiewkę w dłoni i zaczął przeliczać zawartość. Pieniądze stanowiły dla niego wartość ozdobną, nie miał ich jak wydać, a jednak uwielbiał je gromadzić.

— Wyjdiesz na swoje, jeśli sprzedasz je w Aestos? — zapytał.

— Powinienem, jaśnie panie. Za nie wszystkie dostałbym zapewne ponad sto osiemdziesiąt enarów.

— Jak obecnie stoi enar? — zainteresował się Namir, supłając woreczek, który po chwili uwiązał u pasa.

— Podobnie jak luxański enyal. Wart trzech i pół numos.

– Ach, więc trochę enarów zostanie ci jeszcze w kieszeni. Może jednak jestem zbyt hojny. Wspominałeś o jakiejś sytuacji. – Zmierzył Hasana bacznie, na co ten widocznie się wzdrygnął, po czym spochmurniał.

– Parę dni temu spotkałem w drodze podróżnych – zaczął niepewnie i ponownie zamilkł.

– Co z nimi? – ponaglił go Namir.

– Nie jestem pewien. – Hasan poprawił spadający z głowy kapelusz. – Obawiam się, że mogą szykować się jakieś kłopoty.

Namir zmarszczył czoło pod zasłoną.

– Zaczynaj mówić z sensem, Hasan.

– Z tego, co zdołałem się od nich dowiedzieć, wybierali się do O'rior. Spotkałem ich w podziemnym tunelu tenare. Razem korzystaliśmy z miejsca postoju.

– Do rzeczy!

Zniecierpliwione warknięcie Namira sprawiło, że kupiec wyprostował się i poprawił bogato zdobiony kaftan z bufiastymi rękawami.

– Jeśli wyruszyli niedługo po mnie, powinni być w tej chwili na szlaku.

– I co w związku z tym?

– Było ich dwoje, chłopak i dziewczyna. Bardzo młodzi, mili. Ale dziewczyna... Na Flammeth... Nie powinienem być jej tak zostawiać.

Namir pochylił się ku sporo od siebie niższemu kupcowi, rzucając na niego swój cień.

– Czy możemy już przejść do części historii, która mnie zainteresuje?

Hasan cofnął się lekko, przelknął ślinę.

– Dziewczyna była skażona czarną magią.

– Skażona?

– Miała chorą rękę. Pod skórą widniały czarne plamy. Te plamy żyły, ruszały się. Zupełnie jakby była poddawana...

– *Spellium*? – Namir z trudem precyzyjnie te słowa przez gardło. Zrobiło mu się duszno za zasłoną. Miał ochotę ją ściągnąć, ale mimo wszystko wołał oszczędzić Hasanowi paskudnego widoku. – Kto je przeprowadzał? Ten drugi? Ten chłopak?

Kupiec energicznie pokręcił głową.

– Zdecydowanie nie, jaśnie panie. Próbował jej pomóc i żywie nadzieję, że mu się udało. To nie mogło być *Spellium*, nie widziałem nikogo, kto mógłby je rzucić. Lecz czymkolwiek jej skażenie było, sprawiało jej ból, a ja... uciekłem. Nie potrafiłem na to patrzeć. To skażenie, nawet jeśli nie zostało wywołane tym strasznym zaklęciem, pobudziło tak wiele wspomnień... Ja... Jak mogłem tak postąpić...? Niech mnie Flammeth pokarze!

Namir słuchał w osłupieniu. Oddychał ciężko. O'rior było dzień jazdy od jego kryjówki. Nie uśmiechało mu się, by jakikolwiek człowiek związany z czarną magią przebywał w okolicach jego lasu – nawet tych nieco odległych. Trzyznaście cykli temu dostał już nauczkę za wchodzenie w kontakty z jedną ze swego rodzaju. Nawet jeśli dziewczyna nie była czarnym magiem, wystarczył mu sam fakt, że została naznaczona przez mrok.

– Ta dziewczyna była tylko ofiarą – kontynuował Hasan poważnie, a w jego oczach błyskał strach. – Nie powinienem nią wzgardzić, a jednak kiedy zobaczyłem plamy na jej ręce... To było gorsze niż...

– Niż patrzeć na mnie? – Namir oprzytomniał, nie próbował kryć zgryźliwości.

— Nie to... Nie to miałem na myśli.

— Dobrze wiem, co miałeś na myśli. — Skrzyżował ręce na piersi i zaczął przewiercać rozmówcę wzrokiem. — Widok dziewczyny, jak mniemam: wijącej się z bólu, przypomniał ci o dawnych czasach skuteczniej ode mnie?

Twarz Hasana wyrażała szok i ból. Obaj milczeli przez kilka oddechów, borykając się ze wspomnieniami.

— Jasnie panie — wymamrotał wreszcie kupiec — może powinniśmy coś zrobić...

— My? — Namir zaśmiał się krótko. — Ty i ja doskonale wiemy, że nie zostajesz w tej okolicy na długo. Poza tym nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy przejmować się losem jakiejś przypadkowej dziewczyny.

— Sposób, w jaki skaziła ją czarna magia... To nie może być przypadek, coś jest nie w porządku.

— Nie interesuje mnie to — warknął gorzko. — Mam nadzieję, że zdechła w męczarniach i nie wydostała się z tunelu. Nie chcę tu nikogo związanego z czarną magią. Nikogo oprócz mnie.

Hasan nic nie odpowiedział, tylko zapatrzył się tępo w przestrzeń.

Namir schował nabyte towary do sakwy i chwycił w dłoń laskę z korzenia. Odwrócił się, czując, że jego ciało napina się nerwowo. Musiał stąd jak najszybciej odejść. Chciał ściągnąć zasłonę i głęboko odetchnąć. Pragnął zapomnieć o tej rozmowie i zaszyć się z dala od czyhających kłopotów.

Dalsza podróż przez podziemia tenare minęła im spokojnie. Napotkali w drodze jeszcze kilku podróżnych, ale nauczeni

ostatnim zdarzeniem, już nie dzielili z nikim postojem. Głównie natykali się na tenare, co nie pozwalało im zapomnieć, że są na terytorium odrębnej rasy. Kilka razy mieli okazję zobaczyć budowniczych przy pracy — drążyli kolejne odnogi szerokich korytarzy. Przystawali wtedy, by podziwiać niezwykłą wprawę, z jaką mężczyźni posługiwali się magią ziemi. Choć proces ten wymagał długotrwałego wysiłku kilku osób, skały ugięły się pod ich dłońmi jak ciasto i posłusznie przybierały oczekiwane kształty.

Minęli kilka podziemnych oberż, ale nie wstępowali do nich. Rozmowy rozgorzałe w uformowanych starannie wielkich pieczarach były prowadzone głównie w języku tenarskim. Irvette nie musiała przekonywać Wallace'a, że zatrzymywanie się w przybytku wypełnionym tenare nie byłoby rozsądnym posunięciem. W obecnej sytuacji wystarczające szaleństwo stanowiąca idea wybrania się do jednego ze znamienitych miast tej rasy.

Dzięki dokumentom od ojca Wallace'a oraz od naczelnika fortu — a szczególnie dzięki temu drugiemu — bez problemu przekraczali kolejne wartownie. Irvette przestała już zwracać uwagę na dwuznaczne spojrzenia i uśmiešky. Od ostatniego ataku choroby jej ręka ani na moment nie przestawała boleć. Palce miała nieustannie odrętwiałe i rzadko kiedy udawało jej się przespać więcej niż jedną świecę. Przyjaciół czuwał nad nią i w razie potrzeby pomagał z wiązaniem bandaża czy nakładaniem maści, jednak nie umykało jej, z jak wielkim oporem przychodzi mu dotykanie skażonej skóry. Udawała, że tego nie widzi. Zrobił dla niej wystarczająco wiele, wybrałszy się z nią w tę podróż. Opuścił Cirem, opuścił swoich

ziomków i ojca. Z całego serca wierzyła, że przyjaciel — po wielu cyklach spędzonych razem bliski jej niczym brat — chociaż czasami za wysoko podnosił brodę, w rzeczywistości był dobrym człowiekiem.

Po paru dniach byli już na szlaku prowadzącym przez rozległe zielone równiny usiane drzewami. Wierzchowce uspokoiły się i z większą werwą wiozły ich ku obranemu celowi. Oni również odzyskali nieco energii, pomimo że słońce zwykle kryło się za deszczowymi chmurami.

Jeszcze przed zmierzchem dotarli na skraj boru, dużo rozleglejszego niż ten, który porastał granice królestwa. Drzewa były tu znacznie wyższe, o grubych pniach i konarach, obrosłe w intensywnie zielone liście, co na tym etapie pory deszczowej zaskakiwało.

Czekała ich wizyta w kolejnym forcie.

Kiedy do niego dotarli i Wallace przedstawił strażnikom dokumenty, przygotowała się na reakcje takie jak zwykle. Tym razem nawet uśmiechnęła się kącikami warg do mierzących ją tenare i, ku swojemu zadowoleniu, wywołała w nich absmak. Jeden z nich szybko się jednak otrząsnął i skierował wzrok na Wallace'a.

— Przybyliście w porę — przemówił w swoim srebrzystym języku kontrastującym z umięśnioną sylwetką. — Zwierzchnik Silvaru Randis Silvan'al akurat przebywa u naczelnika.

Wallace rozpromienił się, a ona poczuła, że skręca jej się żołądek.

Strażnik poprowadził ich przez obszerny dziedziniec, większy niż w forcie granicznym. Wspaniałe mury z gładkich skalnych bloków pięły się wysoko między drzewami, a dwie wieże

strażnicze sięgały koron tworzących nad fortem zieloną kopułę. Zostawili wierzchowce przy stajni i udali się do gabinetu naczelnika – tym razem znajdującego się na parterze. Strażnik wszedł do izby jako pierwszy i zamknął im drzwi przed nosem. Przez moment słyszeli stłumione przez ścianę rozmowy, a potem tenare zaprosił ich do środka.

Wewnątrz gabinetu przebywało dwóch wysokich mężczyzn o szarej skórze. Jeden z nich ubrany był w barwiony kaftan z aksamitu, z kołnierzem postawionym tak wysoko, że zakrywał obwisłe zakolczykowane uszy. Strój drugiego zdawał się dużo prostszy, choć wykonany był z drogiej i solidnej tkaniny, którą nieczęsto handlowano po rynkach. Również jego uszy były skromniej przystrojone, przebite jedynie paroma małymi obręczami. Włosy miał za to kruczoczarne – kolor ten pośród ludzi był całkiem zwyczajny, u tenare zaś występował rzadziej niż srebrny czy zielony.

Obaj mężczyźni wstali z za stołu, którego nogi były zrobione ze splecionych ciasno korzeni. Wymienili spojrzenia, po czym ten w bardziej przyciągającym wzrok ubraniu wyminął ich bez słowa i opuścił pomieszczenie w towarzystwie strażnika. Zostali sam na sam z, jak domyśliła się Irvette, zwierzchnikiem Silvaru.

– Ty jesteś Wallace Bernett – odezwał się z półśmiechem tenare, wyciągając do chłopaka smukłą dłoń.

Ten pochylił głowę z szacunkiem, który Irvette widywała u niego wyłącznie od wielkiego dzwonu.

– Panie Silvaru.

– Daruj sobie, chłopaku. – Zwierzchnik mówił całkiem sprawnie w języku trzech królestw. Zbliżył się jednym długim

krokiem i chwyciwszy rękę Wallace'a, potrząsnął nią energicznie. Poklepał go przyjacielsko po ramieniu. — Jesteś tu mile widzianym gościem.

Irvette zdziwiła się. Taka poufalość między magnatem a bogatym mieszczaninem — tak samo zresztą jak ta między tenare a człowiekiem — była niecodziennością. Dopiero teraz uwierzyła, że zwierchnika i Connella łączyły silne więzy przyjaźni.

Kiedy już tenare odstąpił od nieco speszzonego chłopaka, utkwił w niej swoje ciekawskie, niemal czarne oczy. Dziewczyna wyprostowała się, nie chcąc okazać zaniepokojenia.

— Mój panie... — Zdjęła kaptur i nieznacznie skinęła głową.

Przestudiował ją uważnie wzrokiem.

— Skłamałbym, twierdząc, że taki prezent mi nie pochlebia — zaczął zwierchnik z zawadiackim uśmiechem, po czym niespodziewanie przeniósł wzrok na Wallace'a — lecz nigdy nie prosiłem twojego ojca o...

Chłopak wniósł ręce i westchnął głośno.

— Zaszło nieporozumienie, mój panie.

Tenare chwilę przeskakiwał bystrym spojrzeniem między ich dwojgiem, a wkrótce odwrócił się do stołu.

— Wyjaśnicie mi wszystko przy stole. Siadajcie.

Irvette pozwoliła sobie na zdjęcie płaszcza i zawieszenie go na drewnianym palu wystającym ze ściany przy wejściu. Pozostawiła tam również swój worek, podobnie uczynił jej przyjaciel.

Podchodząc do stołu, poprawiła rękaw bawełnianej koszuli. Jeszcze nie ściągała rękawiczek, które założyła po tym, jak skazzenie sięgnęło jej dłoni. Usiadła na jednym z krzeseł o oparciu z gałęzi układających się w owal. Na gładkim blacie z czystego

drewna stały nieprzezroczysta butelka i kilka srebrnych czarek wykonanych w prosty, surowy sposób, prawie bez żadnych ozdób. Znajdujący się na środku półmisek po brzegi wypełniały okrągłe bułeczki z jasnego pieczywa. Zwierzchnik bez skępowania sięgnął długimi palcami po jedną z nich. Nie było talerzy ani sztuców. Irvette spostrzegła coraz więcej sprzeczności, jakimi kierowali się przedstawiciele długowiecznej rasy, a których nie miała sposobności zaobserwować wcześniej, to znaczy przy okazji nieczęstych kontaktów z tenarskimi kupcami. Powiązani z naturą, wysławiający się dźwięcznym językiem, a jednak surowi i czasami bez ogłady. Żyjący zarówno wśród pięknych lasów, jak i w głębokich, ciemnych podziemiach.

— Co was do mnie sprowadza?

Wallace poprawił się na krześle i rzucił Irvette znaczące spojrzenie.

— Potrzebujemy twojej pomocy, panie Silvaru — powiedział.

— W jakiej sprawie? Czemu nie jecie? Częstoście się, musicie być głodni po długiej podróży.

Tenare nie spuszczał uważnego wzroku z Irvette. Miała wrażenie, że wszystko już o niej wie. Sięgnęła po dziwną bułeczkę i odgryzła kawałek. Z wewnątrz wypłynęła ciepła mięsna papka, którą przełknęła ze smakiem.

— Wiem od ojca, że jesteś znakomitym magiem, mój panie — kontynuował Wallace. — Twoje umiejętności mogą okazać się nam przydatne.

— Co z waszymi magami? — Na wąskich, szarych ustach zwierzchnika błąkał się kpiący uśmieszek. — Z tego, co pamiętam, w Cirem macie kilku.

— Odmówili nam pomocy — wtrąciła się Irvette, widząc, że przyjaciel ociąga się z odpowiedzią. — Natomiast magowie z akademii odpowiedzieli na naszą wiadomość w sposób, który kazał nam się martwić, jak postąpią w mojej sprawie.

Ciemne oczy zwierzchnika błysnęły zaciekawieniem.

— Co też obudziło takie poruszenie wśród waszych uczonych magów?

Wallace i Irvette popatrzyli po sobie. Znając nienawiść tenare do czarnej magii, dziewczyna bardzo obawiała się reakcji gospodarza. Przyjaciel skinął do niej głową, a ona przypomniała sobie o jego zapewnieniach, że pan Silvaru jest osobą godną zaufania. Powtarzając to w myślach jak modlitwę, zdjęła rękawiczkę. Na widok bandaża zwierzchnik zareagował tylko delikatnym uniesieniem brwi. Cień niepokoju przemknął przez jego młodo wyglądającą twarz dopiero, gdy podciągnęła rękaw i odkryła przedramię owinięte zszarzałą tkaniną. Bez słowa przyglądał się, jak rozwiązuje i zdejmuje bandaż, a kiedy ukazały się pierwsze czarne plamy, tenare głośno wciągnął powietrze.

— Na Mestyrię... — syknął i wsparł łokcie o stół.

Z wolna splótł dłonie przed twarzą, zmrużył oczy. Irvette zaprzestała czynności, odsłoniła przedramię jedynie do połowy. Wallace był cały błydy, bardziej wstrząśnięty widokiem niż zwierzchnik. Potraktowała to jako dobry znak, chociaż fakt, że przyjaciel nadal nie przywykł do widoku jej skażonej skóry, nieco kłuł ją w piersi.

— Czemu przyszliście z tym świństwem do mnie?!

Szorстки głos pana Silvaru natychmiast pozbawił ją złudzeń. Wallace poderwał się z krzesła...

— Ojciec powiedział mi, że może byłbyś w stanie...

— Ja? — Tenare spiorunował go wzrokiem. — Władam żywiołem ziemi i zdolnością telekinezy. Nie mam nic wspólnego z czarną magią. Jak niby miałbym pomóc tej przeklętej dziewczynie?

Irvette poczuła gułą rosnącą w gardle. Z trudem przelknęła ślinę. Odślonięta ręka zaczęła pulsować wzmagającym się bólem.

— Panie Silvaru — ciągnął Wallace — czy naprawdę nie znasz żadnych sposobów, by...

— Nie posiadam zdolności uzdrawiających, a i tak wątpię, by na coś się tu zdały. Zielarzem też nie jestem, a żaden z O'rior nie tknie tej dziewczyny palcem, zapewniam was o tym.

Irvette wyprostowała zgarbione dotąd plecy. Spojrzała zwierchnikowi prosto w ciemne oczy, po których była w stanie ocenić, że nie jest wcale takim młodzieńcem, na jakiego wygląda.

— Mój panie, jesteś naszą ostatnią nadzieją.

Tenare wytrzymał jej intensywne spojrzenie z kamiennym wyrazem twarzy.

— Przykro mi, nie jestem w stanie ci pomóc.

— Bzdura! — Wallace uderzył w stół otwartą dłońią, najwidoczniej zapominając, z kim ma do czynienia. — Ojciec zapewniał mnie, że będziesz wiedział, jak postąpić!

— Zapominasz się, chłopaku. — Usta zwierchnika Silvaru wykrzywił zły uśmiech.

— Szczam na to! I nie odejdę stąd, póki Irvette nie uzyska pomocy! Wiem, że umiesz jej pomóc, mój panie... Ojciec nie wysyłałby mnie tu po próżnicy. Dlaczego nam odmawiasz?

— Czy zdajesz sobie sprawę, smarkaczu, że nie muszę nawet wzywać straży, by cię stąd wyrzucić? — Zwierzchnik nadal uśmiechał się za splecionymi dłońmi. — Wystarczy jeden ruch mej dłoni, a wyfruniesz przez okno jak nieopierzony pisklak z gniazda.

Wallace zabrał rękę ze stołu, ale nie cofnął się. Był czerwony ze złości, która nie pierwszy raz odbierała mu rozum.

— Irvette umrze, jeśli jej nie pomożesz.

Ogień w kominku zaskwierczał wśród pełnej napięcia ciszy. Dziewczyna spojrzała na przyjaciela zszokowana. Nigdy nie mówili o tym otwarciu, chociaż oboje to przeczuwali. Zrobiło jej się zimno, nawet po rozpalonej bólem ręce przemknęły lodowate dreszcze.

Tenare sapnął cicho i pomasaował zmarszczone czoło. Długo się nie odzywał.

— Irvette, tak? — przemówił po zaczerpnięciu oddechu.

— Irvette Castire, mój panie.

— Connell coś mi o tobie wspominał. Twierdził, że jego syn skoczyłby za tobą w ogień. Jak widzę, nie mylił się.

Wallace lekko skinął głową, ale z poważnym wyrazem twarzy.

— Wybaczę mu jego zachowanie — zaczął zwierzchnik, zerkając z ukosa na chłopaka — tylko ze względu na moją przyjaźń z Connellem i w nadziei, że kiedyś ułożysz tego ludzkiego szczeniaka jak należy.

Irvette uśmiechnęła się kącikami warg.

— Mam nadzieję, że temu zadaniu sprosta jego przyszła żona.

Zwierzchnik roześmiał się, a Irvette odetchnęła w duchu, że jej komentarz nieco rozluźnił atmosferę.

— Rozumiem. Dobrze, spróbujmy jeszcze raz. Usiądźcie.

Ach, samo „panie” wystarczy, jeśli już czujecie potrzebę mnie tytułować.

Odrobinę zbaraniały Wallace opadł ciężko na krzesło. Irvette skrzywiła się z bólu i przycisnęła ramię do siebie.

— Twój ojciec cię nie oszukał, chłopaku. — Zwierzchnik Silvaru sięgnął po butelkę i rozlał zawartość do naczyń. Nie zwracał sobie głowy przeprosinami, że częstuje ich napojem dopiero teraz. — Faktycznie możliwe, że wiem, jak w tej sytuacji postąpić. Nie mam pewności, co z tego wyniknie, jednak Connell nie mógł mieć na myśli nic innego. Stary plotkarz tak się zarzekał, że zachowa tajemnicę.

— Jaką tajemnicę? — zainteresował się Wallace.

— Na temat mojego dobrego znajomego. — Kpiący ton zwierzchnika wskazywał na mało przyjazny stosunek do tego, o kim mówił. — Ojciec nie opowiadał ci przypadkiem o Potworze z Damanor?

Chłopak pokręcił głową.

— A więc może jednak trzymał gębę na kłódkę. — Gospodarz podniósł czarstkę do ust i wypił kilka łyków. — Zgaduję, dziewczyno, że również nie masz pojęcia, o kim mówię.

Gęsia skórka postawiła włoski na jej przedramionach. Miała złe przeczucia.

— Nigdy o nim nie słyszałam.

— Nie dziwię się, jesteście z Vasperrn. Plotki o potworze swego czasu krążyły po całym Aestos i w pewnych obrębach Nivelos. Dotarły i tutaj, ale byłbym zaskoczony, gdyby sięgnęły również waszego królestwa. Twój ojciec, Wallace, jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem w Vasperrn, który cokolwiek na ten temat słyszał.

— Co to ma wspólnego z naszą sprawą? — zniecierpliwził się chłopak.

— Więcej, niż myślisz. Zabiorę was do niego.

Ivette i Wallace spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc.

— Do Potwora z Damanor? — dociekała dziewczyna. — Czy on może mi pomóc?

Zaplotła palce lewej dłoni na naczyniu, obawiając się, że prawa ręka może odmówić jej posłuszeństwa. Ostrożnie wzięła łyk napoju. Trunek był słodki niemal jak sam miód. Rozgrzał jej gardło w przyjemny sposób.

— Ach, tu właśnie zaczyna się problem. — Zwierzchnik rozparł się na krześle, założył ręce za kark. — Nie mogę wam nic zagwarantować. Nie wspominając o tym, że spotkanie z nim nie napawa mnie w żadnej mierze radością. Wierzcie mi: wy również nie macie ochoty się z nim widzieć...

— Chwila — wtrącił Wallace. — Mówimy o potworze czy o człowieku?

— Doprawdy, bardzo dobre pytanie. — Tenare wyszczerzył się w parszywym uśmiechu. — Wiele wskazuje na to, że może być osobnikiem waszej rasy, chociaż jak dla mnie bliżej mu do paskudnej bestii.

— I ta bestia ma pomóc Ivette?

— Jak już powiedziałem, nie zagwarantuję wam tego, jednak istnieje możliwość, że będzie wiedział, co poradzić na to twoje... skażenie, dziewczyno. Choć jego metody z pewnością nie będą pozbawione pewnego ryzyka.

Ivette odruchowo dotknęła chorego ramienia i zacisnęła zęby, by nie syknąć przy kolejnej fali piekącego bólu.

— Dlaczego akurat on? Kim takim jest?

– Czarnym magiem.

Po raz kolejny w izbie zapanowała przejmująca cisza. Irvette wstrzymała oddech, a gdy już otwierała usta, by przerwać milczenie, Wallace po raz kolejny uderzył w stół. Tym razem obie- ma dłońmi i nie podnosząc się z krzesła.

– Chcesz, panie, oddać Irvette w ręce czarnego maga?! To szaleństwo!

Zwierzchnik Silvaru popatrzył na chłopaka spode łba.

– Nie znam nikogo innego, kto mógłby jej pomóc.

– I dlatego mam się godzić na powierzenie jej opiece jakiegoś, jak sam, panie, powiedziałaś, potwora?!

– Wallace! – Irvette poskromiła go wzrokiem. – Przypominam ci, że sama jestem w stanie o sobie zdecydować.

– Jeszcze mi powiedz, że ten szalony pomysł ci odpowiada!

– Tak się składa, że nie mamy żadnego innego – odparowała szorstko.

– Oczywiście, że mamy. Wrócimy do Cirem i poprosimy mojego ojca, by jeszcze raz skontaktował się z magami z akademii. Może ich odpowiedź niepotrzebnie nas zaniepokoiła. Może będą w stanie ci pomóc.

– Oboje wiemy, że to nieprawda, Wallace. W najgorszym wypadku poddadzą mnie jakimś chorym badaniom. W najlepszym: po prostu zabiją.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Ależ wiem – wycodziła, tracąc cierpliwość. – Wystarczy mi twoja reakcja, by to wiedzieć.

– Co ma do tego moja reakcja?

– Odjęło ci rozum na wieść o tym, że będę musiała zetknąć się z czarnym magiem. Moje skażenie cię przeraża i napa-

wa obrzydzeniem. Nie ma na tym świecie osoby, która nie gardziłaby choćby najmniejszym znamieniem tej magii.

Wallace umilkł, mocno zaciskając zęby. Wbił błyszczące wściekłością spojrzenie w blat. Zwierzchnik Silvaru obserwował całą konwersację zmrużonymi oczami, popijając trunek ze srebrzystego naczynia. Irvette odwróciła się ku niemu.

— Bądź tak miły, panie, i od teraz rozmawiaj tylko ze mną — poinstruowała go chłodno. — To moje życie jest na szali i to ja zdecyduję, w którą stronę tę szalę przechylić.

Powoli uniosł czarę w jej kierunku.

— Niech będzie po twojemu, dziewczyno.

— Powiedz mi więcej o tym człowieku, którego zwiesz Potworem z Damanor, panie. Gdzie obecnie przebywa?

— W swoim leśnym gniazdku, jakieś pół dnia jazdy stąd.

— Z jakich powodów zawędrował z dalekiej północy aż tutaj?

— Robi to, co większość czarnych magów: ukrywa się. Jakiś czas temu pomieszkiwał na ziemiach Aestos, tam go poznałem. Jednak sytuacja zmusiła go do przeniesienia się na nasze tereny. Właściwie nawet pomogłem mu się tu osiedlić.

Irvette uniosła brwi.

— Mój panie... czyż tenare nie pałają do czarnych magów szczególnym rodzajem nienawiści?

— Tak się przyjęło, jednak po prawdzie nie nienawidzimy ich dużo mocniej niż ludzie. Poza tym, choćbym nie był z tego faktu zadowolony, czarny mag, o którym mówimy, uratował mi życie.

Przyjrzała się bacznie zwierzchnikowi, rozważając jego słowa.

— A jednak z sympatią, panie, również się o nim nie wypowiadasz.

Tenare tylko drażył ją wzrokiem, milczenie przerwało ciche sapnięcie Wallace'a.

— Nie podoba mi się to. — Raptem utkwił wzrok w odsłoniętym ramieniu dziewczyny i zerwał się z krzesła. Przemierzył niedużą przestrzeń izby, by podnieść z ziemi jej worek. — Powinnaś się tym zająć.

Gdy wrócił do stołu i zaczął wyjmować potrzebne rzeczy, Irvette w zamyśleniu spojrzała w ogień tańczący w kominku.

— Kiedy mógłbyś nas do niego zabrać, panie?

Wallace obrzucił ją zasmuconym spojrzeniem, ale nie skomentował. Najwidoczniej zaakceptował jej wybór, a jej ulżyło, że nie będzie musiała więcej się z nim wyklócać. Nie miała na to najmniejszej ochoty.

Zwierzchnik zastanawiał się przez moment.

— Dzisiaj odpocznijcie. Wyruszymy jutro. Znajdę wam zaraz jakąś kwaterę. Prześpijcie się i przygotujcie na spotkanie. Nie będzie należało do miłych. To jedyne, co wiem w tej sprawie na pewno.

Wallace porozumiewał się z Irvette tylko okazjonalnymi burknięciami. Przez cały wieczór nie rozmawiali o decyzjach, które zapadły. Dostali od zwierzchnika cały bukłak słodkiego trunku i jeszcze trochę nadzianych mięsem bułeczek, których podczas rozmowy jej przyjaciel nawet nie tknął. Teraz się nie hamował i nie dbał o to, by cokolwiek oszczędzić dla swojej towarzyszki. Z całych sił starała się ignorować jego dziecinne zachowanie.

Spędzili noc w niewielkiej kwaterze, tym razem jednak pozbawionej przykrych zapachów. Dostali także balię, w której mogli nareszcie zażyć kąpieli. Irvette z ulgą skorzystała z tego małego luksusu.

Wyruszyli z rana, zaraz po wschodzie słońca. Cofnęli się szlakiem na tereny, które minęli poprzedniego dnia. Zjechali z piaszczystej drogi na zielone równiny i podążali przed siebie tak długo, aż rozpoznali odległe jeszcze mokradła rozciągające się przed majaczącym w oddali lasem. Wtedy zwierzchnik zażądał postoju i z małej skórzanej sakwy u pasa wyciągnął amulet – szklaną kulkę zawieszoną na łańcuchu z grubych oczek.

– Co to takiego? – zaciękała się Irvette.

– Nexam. Droga rzecz. Do jej zaklęcia potrzebny jest mag władający żywiołem powietrza i zdolnościami telepatii. Nexam powoduje, że słowa przebywają pewne odległości. Niestety nie aż tak wielkie, jak bym tego chciał.

– Co to właściwie znaczy?

– Takie same Nexamy podarowałem swego czasu dwóm, hmm... towarzyszom, byśmy w razie potrzeby mogli się porozumiewać. Jednym z nich jest nasz potwór. Wolałbym skontaktować się z nim jeszcze w forcie, lecz Nexam nie działa na taką odległość. Może się okazać, że przybyliśmy tu niepotrzebnie, jeśli teraz odmówi wam pomocy.

Zwierzchnik zeskoczył z konia, Irvette i Wallace poszli w jego ślady, wymieniając wyczekujące spojrzenia.

– Muszę was przestrzec: nie kontaktowałem się z nim kilka cykli i nie wiem, jak zareaguje.

– Zaczekaj, proszę, panie – odezwał się Wallace, spoglądając w dal. – Zanim rozpoczniemy, chciałbym zadać kilka pytań.

Wspominałeś, panie, że czarny mag ukrywa się i to ty zapewniłeś mu azyl w lesie widocznym przed nami.

– Tak, a co więcej, zbudowałem dla niego schronienie. Cóż, w życiu zrobiłem wiele rzeczy, których teraz żałuję.

– Nie widać stąd szlaku, a ta okolica nie wygląda na często odwiedzaną. Nazywasz go, panie, potworem i wywozisz z dala od ludzi. Niepokoi mnie to. Czy jesteśmy prowadzeni jak posłuszne owieczki na rzeź, prosto do leża bestii?

Tenare roześmiał się pod nosem.

– O co mnie posądzasz, chłopaku?

– Pragnę jedynie zaznaczyć, panie, że bardzo się postarałeś, by pomóc mu ukryć się przed światem. Niektórzy mogliby sądzić, że z nim współdziałasz.

– I że podrzucam mu niczego niespodziewające się ofiary? – W oczach zwierznika pojawił się błysk rozbawienia. – Nie nazwałbym tego współdziałaniem. Potrzebował schronienia, a ja od dawna wiedziałem, że to miejsce jest opustoszałe. Kiedy zobaczycie las z bliska, zrozumiecie czemu. Mało kto wkroczyłby tam z własnej, nieprzymuszonej woli.

Wallace skrzywił się z dezaprobatą.

– Czy to, co powiedziałeś, panie, miało mnie uspokoić?

– Miało pokazać ci, że nie zamierzam was zwodzić. Do niczego was nie zmuszam. Możecie jeszcze zmienić zdanie, zawrócić i szukać pomocy u waszych magów.

– Prosiłam, panie, byś w tej sprawie zwracał się jedynie do mnie. – Irvette uciszyła spojrzeniem przyjaciela, który już szykował się do odpowiedzi. – Nigdzie nie zawracamy. Czy jest coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć o tym mężczyźnie?

— Hmm. Czarna magia, chociaż jest głównym powodem jego odizolowania się od świata, nie jest jedynym. I tymi pozostałymi powodami radzę się wam nie interesować. Poza tym ten... człowiek... spędził już jakieś trzynaście cykli w samotności, w mrocznym lesie. Nie spodziewajcie się, że jest szczególnie przystosowany.

— Na bogów! — Wallace pobladł. — W czyje ręce godzę się powierzyć zdrowie Irvette?

— W potworne, paskudne ręce, które mimo wszystko potrafią czynić rzeczy niesłychane. Nie podoba mi się to równie mocno co tobie.

Irvette westchnęła poirytowana.

— Czyni, proszę, swoją powinność, panie. Jeśli dalej będziesz słuchać jęków mojego przyjaciela, umrę, nim któreś z nas zdąży cokolwiek uczynić w mojej sprawie. Przy okazji, Wallace: godzisz się? Nie jestem twoja, byś o mnie decydował, i nie pojmuję, skąd przyszło ci to do głowy. Nie próbuj mi odpowiadać, to nie miejsce i czas na takie bzdury.

Zwierzchnik Silvaru uśmiechnął się szeroko.

— Twoja towarzyszka ma jaja większe od ciebie, chłopaku.

— Rozmowa na temat męskich genitaliów również mnie w tej chwili nie interesuje. Panie.

Tenare roześmiał się gromko i dźwięcznie.

— W porządku. Od tej chwili nie ma już odwrotu. — Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. — Ach, jak bardzo nie mam ochoty tego robić...

Jednak przysunął wisior blisko swojej twarzy i wypowiedział jedno słowo: *seremo*. Zawieszona na łańcuchu szklana kula rozbliżyła słabym światłem. Przez kilka oddechów nic więcej się

nie działało, lecz raptem amulet zamigotał intensywniejszym blaskiem i wtem dobiegł z niego zdeformowany, mocno chrypliwy głos.

– Hasan? Czego jeszcze chcesz?

Irvette dostała gęziej skórki. Do głowy wpadła jej myśl, że to nie może być głos człowieka. Wallace musiał sądzić podobnie, bo położył dłoń na jej ramieniu. Była pewna, że chciał uspokoić również siebie.

Zwierzchnik Silvaru skrzywił usta, głośno przelknął ślinę. Nie spieszył się z odpowiedzią.

– Czemu nadal tu jesteś? Hasan?

– To ja, Randis.

Przez dłuższy moment nie padła żadna kwestia. Irvette wpatrywała się w Nexam intensywnie.

– Randis! – rozległo się niespodziewanie, tak że cała trójka drgnęła. Głos ociekał jadem. – To ci dopiero zaszczyt. Czemu go zawdzięczam?

Po obliczu zwierzchnika przemknął nieokreślony wyraz.

– Dawnośmy się nie słyszeli, Potworze z Damanor. Aż dziw bierze, że nadal dychasz.

Irvette wydała z siebie cichy odgłos rozczarowania. Nie tak wyobrażała sobie przebieg tej rozmowy. Z Nexamu wydobyła się kąśliwa odpowiedź:

– Jestem pewien, że stan mojego zdrowia przejmuje cię do głębi, podobnie jak mnie obchodzi twój. Może jednak darujmy sobie te uprzejmości i przejdźmy do konkretów. Musisz mieć do mnie sprawę niecierpiącą zwłoki. Myle się?

Tenare uśmiechnął się, a jednak jakiś mięsień na jego twarzy dziwnie drgnął.

– Czas, byś zaczął spłacać swój dług, stary druhu.

Tym razem odpowiedź zadźwięczała niemal natychmiast:

– Dług? – Śmiech, który nastąpił po słowie wypowiedzianym z głębokim niedowierzaniem, zmroził Irvette do kości. – Pamiętam to zgoła inaczej. Może tak, że uratowałem ci skórę. Stary druhu.

Zwierzchnik zaczerpnął powietrza, kształt jego ust zrobił się bardziej złowrogi.

– W zamian za pomoc zaoferowałem ci dogodne schronienie. Chowasz się w tej swojej lisiej norze wystarczająco długo, bym zaczął żądać zapłaty.

– Nie! – padła stanowcza odpowiedź, teraz pozbawiona sarkazmu. – Ocaliłem cię. Za to będziesz płacił tak długo, jak trwa twoje marne życie. Teraz wiem, że niewarte ratowania.

Wallace głąskał gniadosza po grzbiecie, z powątpiewaniem zerkając to na zwierzchnika, to na Irvette. Dziewczyna miała ochotę wtrącić się w rozmowę, niecierpliwiła się, miętoszyła w dłoni połę płaszczka.

– Na Mestyrię! – wybuchnął tymczasem zwierzchnik, nie próbując już kryć rozeźlenia za maską zawadiaki. – Nie sądziłem, że możesz być bardziej zgryźliwy niż wtedy, gdy slyszeliśmy się ostatnio!

– Ostatnio, powiadasz? – Głos z Nexamu znów zabrzmiał kąśliwie. – Musisz mieć na myśli sytuację sprzed kilku cykli, kiedy to posądziłeś mnie niesłusznie o przywołanie pomiotu, który z podziemi wypuścili twoi nieudolni Strzegący.

Zwierzchnik oddychał przez rozedrgane nozdrza. Irvette mierzyła go zimnym wzrokiem, pragnąc dać mu do zrozumienia, że powinien zakończyć roztrząsanie swoich spraw.

— Czy naprawdę musimy tego słuchać? — szepnęła, podejrzliwie zerkając na amulet.

Zwierzchnik popatrzył na nią z naganą i od razu zrozumiała, że jej słowa zostaną odebrane przez mężczyznę dzierżącego drugi Nexam. Odpowiedź nie pojawiała się przez długi czas i Irvette zaczęła się obawiać, że zniechęciła rozmówcę.

— Randisie — dało się wreszcie słyszeć — powiedz mi, że się przesłyszałem.

Irvette zdobyła się na odwagę i wyrwała amulet z ręki zwierzchnika, zignorowawszy jego, teraz już wściekle, spojrzenie, po czym zbliżyła szklaną kulę do własnej twarzy.

— Nie, panie, z twoim słuchem wszystko w porządku. To w mojej sprawie przychodzimy do ciebie.

Dłużąca się cisza przyprawiała dziewczynę o niepokój.

— Randis. — Głos był lodowaty, wycofany. — Jakąkolwiek tragedię spowoduje twój brak rozsądku, każdą jej ofiarę będziesz miał na swoim sumieniu. Miło było pogawędzić i wspominać stare czasy.

Odepchnięta tymi słowami Irvette poczuła, że robi się czerwona ze złości.

— Zaczekaj! — Głos Wallace'a rozległ się nad jej ramieniem. — Potrzebujemy twojej pomocy!

Zwierzchnik Silvaru westchnął głęboko, kryjąc twarz w smukłej dłoni. Zanim ze szklanego wisiora padły kwaśne słowa, najpierw wydobył się z niego wściekły syk.

— Ile jeszcze osób mnie słucha, Randisie? Czy odjęło ci rozum? Ilu tu sprowadziłeś?!

— Jest nas tylko dwójka, panie! — kontynuował chłopak z rozgorączkowaniem. — Moja przyjaciółka... jest chora. Wie-

rzymy, że tylko ty jesteś w stanie...

— Nie. Wynoście się stąd, wszyscy!

Lekko otępiła Irvette potrząsnęła za łańcuch. Szklana kula zgasła i blask już nie powrócił. Łzy zapiekły w kącikach oczu, lecz nie pozwoliła im popłynąć. W zamian zakłęta siarczyście, jej sercem zawładnęła wściekłość.

— Wypowiedz zakłęcie, panie. Aktywuj Nexam.

— To na nic, dziewczyno. Przykro mi.

— Będziemy próbować do skutku.

— Nie przekonacie go. To uparty dureń.

— Nie zdążyliśmy nawet wyjaśnić... — Urwała, zdjeta silnym bólem, który wyrwał z jej gardła krótki jęk. Wallace był przy niej w okamgnieniu i podtrzymał, gdy zawroty głowy ścięły ją z nóg. Natychmiast straciła ostrość widzenia, świat przechylił się pod dziwnym kątem, a potem cały zamazał i pociemniał. Ramię oblał żar, jakby włożyła je w ogień. Ból stał się nie do zniesienia, jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, a z gardła wydostał się strumień wymiocin. Słyszała wokół siebie jakieś okrzyki, ale nie potrafiła wyłowić z nich żadnych słów. Dotykały ją czyjeś ręce, ktoś ją uniośł, poczuła, jakby fruwała w powietrzu. Potem straciła kontakt z rzeczywistością.

Rozdział III

1338

Lederg brnął przez gęsty bór porastający ośnieżone wzgórza i z uwagą przyglądał się notatkom. Mapa, którą naszkicował na pergaminie według wskazówek mieszkańców okolicznej wioski, wskazywała, że powinien znajdować się już blisko wejścia do grotty. Dla niego jako badacza jaskinie miały szczególną wartość. To w ich wnętrzach kryła się rzadka roślinność, niespotykane nigdzie indziej drogie kamienie, minerały i przepelnione magią miejsca. Akademia płaciła niemało za jego wyprawy i miał nadzieję, że i tym razem po powrocie będzie mógł pochwalić się wieloma odkryciami. Wyruszył dwie fazy temu, a Purga — wieś na dalekiej północy Nivelos — oraz jej okolice miały być zwieńczeniem podróży. Zależało mu, by wynieść z tych terenów jak najwięcej informacji.

Ukrył notatki w dużej podróżnej sakwie, teraz częściowo opróżnionej z ekwipunku — nie chciał się niepotrzebnie obciążać, więc to, co mógł, pozostawił w wiosce. Obrął kierunek, który powinien doprowadzić go do jaskini, i po niedługiej przeprawie między wysokimi sosnami oraz świerkami ujrzał wylaniające się zza roślinności skały. Skierował się tam żwawszym

krokiem, zadowolony. W lesie było cicho. Siedem dni temu w Purdze panowała tak silna zamieć, że Lederg nie mógł nawet na chwilę wyściubić nosa zza drzwi szynku, w którym zajmował skromny pokój. Dziś nie było nawet wiatru, a jedyne dźwięki, jakie dało się słyszeć, to chrzęszczenie śniegu pod stopami i skrzypienie uginających się pod jego ciężarem gałęzi.

Jakiś cień poruszył się między drzewami rosnącymi przed jaskinią. Mag zatrzymał się. Zaskoczony faktem, że nie jest w tych okolicach sam, nabrał ostrożności. Wytężył wzrok i zwolnił kroku. Instykt podpowiadał mu, by w miarę możliwości kryć się za pniami drzew i gołymi krzakami jeżyn. Widział nieznaną postać coraz wyraźniej i jego zdziwienie z każdym oddechem rosło.

Za zwałami śniegu, który na tej części kontynentu topniał dopiero z końcem pory deszczowej, przed wąskim wejściem do grotty krążył wychudzony chłopiec ubrany w podarte łachmany i z workiem zarzuconym na głowę. Rękami wepchniętymi w podziurawione rękawice zbierał i łamał gałęzie, prawdopodobnie na ognisko, które — jak zgadywał Lederg — musiało mieścić się wewnątrz grotty.

Mag zawahał się i znów przystanął na chwilę. Skąd się tutaj wzięło dziecko, pół dnia drogi od wioski? Co miał znaczyć worek na jego głowie? Ogarnęły go złe przecucia. Jednak prowadzony ciekawością badacza i troską, jaką budził w nim widok zmizerniałego dziecka, przemieścił się powoli wśród zarośli, by w końcu wyjść z cienia drzew.

Skrzypienie śniegu pod jego stopami przyciągnęło uwagę chłopca. Zadarł zakrytą workiem głowę i utkwił w magu spojrzenie szeroko otwartych oczu, które wyzierały z dwóch nie-

równy wyciętych otworów. Te oczy były nienaturalnie jasne. W przedzierającym się przez liście migotliwym świetle, które odbijało się od śniegu, sprawiały wrażenie srebrnych.

Lederg zdążył jedynie otworzyć usta, by coś rzec, a chłopca już nie było — natychmiast zniknął w ciemnościach grotu. W trakcie ucieczki upuścił kilka gałązek.

Mężczyzna osłupiał. Przez moment nie wiedział, jak postąpić, ale zaraz się ocknął. Przecież nie mógł zostawić tego dziecka — z jakiegokolwiek powodu tu było — na pastwę losu. Przedostał się między drzewami do jaskini, przecisnął przez szczelinę i znalazł w mrocznym wnętrzu. Zdjął kaptur. Podkasał rękaw i przyzwał na dłoni wysoki na stopę płomień, by oświetlić sobie drogę.

Potańił powieki i przetoczył wzrokiem wokoło. Płomień posłusznie tańczył mu na dłoni, a po skałach przemykały fikuśne cienie. Sklepienie znajdowało się nisko, z rzadka zwisały z niego grube stalaktyty, lśniące od kropelek wody. Tunel, który wyłonił się z mroku tuż przed jego oczami, prowadził w dół, ale z boczne nie wydawało się strome. Lederg skierował się w jego stronę, ostrożnie stawiając stopę za stopą.

Po chłopcu nie został ani ślad. Nie dało się słyszeć jego kroków, echo nie przynosiło żadnych odgłosów. Było tak, jakby wyparował.

Mag pluł sobie w brodę, że go wystraszył. Był o to na siebie wściekły, mimo wszystko szedł dalej. Po pokonaniu jakichś dwustu stóp przedostał się do miejsca, gdzie grotą znacząco się powiększała. Kiedy stanął pod jedną ścianą, nie był w stanie zobaczyć pozostałych, nawet jeśli wyciągał dzierżącą płomień rękę daleko przed siebie. Nie był więc pewien, gdzie teraz szukać,

ostatecznie kontynuował przemieszczanie się wzdłuż tej samej ściany, aż po przejściu następnych kilkudziesięciu stóp natknął się na ślady obozu.

Z podłoża wystawało trochę skalnych słupów, które pięły się i łączyły ze sklepieniem. Pod jednym z tych filarów natury Lederg odnalazł płócienne szmaty – jedne zwinięte w kształt podglówka, inne rozścielone, wyraźnie służące za posłanie. Nieopodal jeszcze syczało dopiero co ugaszone ognisko otoczone kamiennym kręgiem. Spomiędzy kamieni sterczały nad paleniskiem patyki z nabitym na nie oskórowanym królikiem. Na ten widok mężczyzna zaczął się zastanawiać, czy dziecko aby na pewno przebywa tutaj samo. Potrafił uwierzyć, że chłopiec – skądkolwiek pochodził – zaobserwował, jak dorośli przygotowują jedzenie nad ogniem, jednak nie umiał sobie wyobrazić dziecka samodzielnie i dokładnie sprawiającego zwierzynę.

Obszedł legowisko i kamienny krąg, błędząc spojrzeniem w poszukiwaniu śladów czyjejś obecności. Na jednym ze stalagmitów odnalazł nieduży bukłak ze skóry, uwieszony na konopnym sznurku.

Kiedy zamyślony oddalił się o kilka kroków, do jego uszu zaczął napływać szmer wody. Odwrócił się w kierunku, z którego dochodziły dźwięki, i wyciągnął rękę przed siebie. Wzmocnił nieco płomień i ruszył dalej.

W miarę jak pokonywał kolejne sążnie, odgłos się nasilał. Podobnie jak jego niepokój. Grota znów się zwężała. Lederg czuł się bezpieczniej, kiedy światło jego magicznej pochodni sięgało od ściany do ściany, a jednak mimowolnie robiło mu się duszno. Po pewnym czasie szmer wody stał się tak wyraźny,

że męczyzna miał pewność, iż blask płomieni za chwilę odbije się w krystalicznej tafli. Ujrzał jednak coś zgoła innego. I znieruchomiał, zdjęty strachem.

Patrzyła na niego para jarzących się jak rozgrzane węgle ślepiów. Demon stał na granicy oświetlonego przez płomień terenu. Częściowo ukryty w mroku, a jednak wystarczająco blisko, by dotrzeć do maga jednym długim susem.

W myślach Lederga pojawiła się i otworzyła księga, którą studiował dawno temu. Tomiszcze w jego wspomnieniach ukazywało szkice opisane drobnym tekstem. Rysunki przedstawiały pomiot cienia — demona związanego z czarną magią. Czworonożnego, budowę ciała przypominającego wielkiego psa. Otoczonego tuż przy skórze ciemną mgłą. Z długimi, czarnymi pazurami, zakrzywionymi jak u drapieżnego ptaka. O głowie osadzonej na długiej szyi — zwierzęcej głowie, a jednak z ludzką twarzą, wprawdzie bez nosa, za to z szerokim uśmiechem odsłaniającym ostre kły. Takie właśnie monstrum stało teraz naprzeciw niego...

Wypuścił z płuc wstrzymywany do tej pory oddech. Wykonał krok w tył, nie spuszczać pomiotu cienia z oczu. Ten nie poruszał się, przyglądając mu się z identyczną uwagą.

Przyspieszone bicie serca tętniło magowi w uszach. Nie miał odwagi choćby mrugnąć, bardzo powoli się wycofywał. Demon, sięgający mu głową pod pierś, ciągle nie atakował. Lederg zaczął dochodzić do wniosku, że musi on strzec przejścia. Cokolwiek znajdowało się dalej czy ktokolwiek krył się w głębi — pomiot cienia nie miał zamiaru przepuścić intruza. W końcu cieniste, płaskie wargi uniosły się i potwór przemówił skrzekliwym głosem. Słowa były dla maga niezro-

zumiało, ale każde kolejne raniło go w uszy niczym kłujące igły.

Krzywiąc się z bólu, Lederg powoli oddalał się od demona. Miał ochotę zerwać się biegiem, ale uznał, że byłoby to nierozsądne. Nie powinien prowokować pomiotu i musiał mieć się na baczności, być gotowym na ewentualny atak. Wycofywał się więc stopniowo ku miejscu, w którym widział obóz, a demon niknął w mroku. Skrzekliwe zdania wypowiedane w obcym języku podążały za magiem, coraz mniej wyraźne.

Dopiero gdy znalazł się koło pozostałości ogniska, zdał sobie sprawę, jak szybko i płytko oddycha. Przelknął ślinę, nie miał odwagi się odwrócić. Nie chciał mieć demona za plecami. Pot spływał mu po czole, nogi plątały się i kilka razy niemal się przewrócił. Pozwolił sobie skierować twarz ku wyjściu dopiero, gdy dzieliło go od szczeliny jakieś sto stóp. Ale nawet wtedy nieustannie się za siebie oglądał.

Gdy wypadł na zewnątrz, prosto w oślepiający blask białego śniegu, od razu obrął kierunek na wioskę. Zgasił ogień na dłoni, zarzucił na głowę kaptur i poszedł zamaszystym krokiem, ani na moment się zatrzymując. Przyspieszone tętno jeszcze długo nie chciało się uspokoić. Do Purgi miał daleką drogę, a co za tym idzie – wiele czasu na rozmyślanie.

Dotarł do wioski po zmroku. Zimno przenikało go do kości, a wśród skupiska głównie drewnianych chat królowały pustki. Zasypanymi ścieżkami nie przemieszczał się ani przechodzić. Pochodnie paliły się tylko przed jednym podłużnym domostwem połączonym z oborą, należącym do starszyny osady. Za pozamykanymi okiennicami pozostałych siedlisk gdzieś pobłyskiwały słabe światła. Z szynku znajdującego się bli-

żej centrum Purgi dochodziło echo rubasznych rozmów. Skierował się tam, a kiedy mijał kapliczkę poświęconą Nive, wykonał kilka nerwowych ukłonów.

Gdy już znalazł się wewnątrz, konwersacje ucichły i wszystkie pary oczu powędrowały w jego stronę. Chłopi nadal podchodzili do niego z nieufnością, mimo że przebywał w wiosce już wiele dni. Stojąc w progu, skinął głową, pozdrawiając wszystkich obecnych. Jedni pomruczeli coś pod nosami, inni po prostu się odwrócili, by kontynuować swoje rozmowy, teraz już przyciszone. Tylko szynkarka nadal nie spuszczała go z oczu.

Przywyknął już do takiego traktowania. Wyminął siedzących przy ławach wieśniaków, krocząc ku schodom prowadzącym na piętro. Rzucił okiem na prostokątne, otoczone niewielkimi kamiennymi bloczkami palenisko w centrum pomieszczenia. Na stojaku, wykonanym z dwóch solidnych belek i wbitego między nie pręta, wisiały dwa kotły. Do nosa Lederga dotarł zapach zupy rybnej, do ust napłynęła ślina. A jednak zrezygnował z wieczornej strawy. Był zbyt zdenerwowany, przejęty tym, co go spotkało, a nieprzyjemna atmosfera nie zachęcała do pozostania wśród miejscowych.

Na piętrze znajdowały się dwie małe izby przeznaczone dla z rzadka zjawiających się gości. Zamknąwszy za sobą drzwi jednej z nich, mag zrzucił z siebie wierzchnie odzienie i usiadł na łóżku. Po całym dniu wędrówki był wykończony i przemarznięty, ale wiedział, że jeszcze długo nie zmruży oka. Przyciągnął pod nogi drewnianą skrzynię z płaską pokrywą i rzucił na nią wyciągnięty z sakwy notatnik, niemal przewracając kałamarz, który wcześniej tu pozostawił. Utkwił spojrzenie w piórze leżą-

cym tuż obok. Pulsowało mu w skroniach. Przez całą drogę do wioski próbował pozbierać myśli.

Słyszał doniesienia o pomiotach cienia, o ich przygodnych atakach na podróżnych i kilku rzeziach dokonanych w wioskach. Sam spotkał się z demonem pierwszy raz i nadal nie potrafił wygonić z głowy obrazu czerwonych ślepi osadzonych głęboko na płaskiej, upiornej twarzy. Złapał za pióro, chcąc zanotować wszystko, czego był świadkiem, i popadł w zwątpienie. Czy dobrze postąpił? Czy nie powinien chociaż spróbować zlikwidować potwora? Co, jeśli pomiot cienia wyjdzie ze swojej kryjówki i zaatakuje mieszkańców Purgi? Zdawał się czegoś strzec, możliwe, że nie miał zamiaru opuszczać mrocznego legowiska, ale mag obawiał się, że to tylko jego własne złudzenie. Raptem powróciła do niego myśl o dziecku, o którym w całym tym stresie zapomniał. Zimno spęzło mu po kręgosłupie. Czy zostawił tego chłopca na łaskę demona, skazał go na śmierć?

Szkicując pomiot, zastanawiał się nad tym, skąd on mógł się tam wziąć. Istniały tylko dwie możliwości: albo sam wypełznął z głębokich podziemi, albo został przyzwany przez czarnego maga...

Pióro na moment zawisło nieruchomo nad pergaminem. Do głowy Lederga wpadła pewna myśl, lecz na razie ją odgonił, nie chcąc nawet rozważać tej możliwości.

Obudził się, gdy tylko zaczęło świtać. Skronie zrosił mu pot — pozostałość po koszmarach, które towarzyszyły mu do połowy nocy, kiedy wreszcie z trudem zasnął. Zanim poprzedniego wieczora udał się na spoczynek, zszedł jeszcze do baru. Spojrzenia, które dotąd były przepelnione jedynie po-

dejrliwością, stały się zimne i wrogie. Zbywali go milczeniem, wzruszali barkami albo z przekonaniem odpowiadali, że nic nie wiedzą o żadnym chłopcu, że żadne dziecko z wioski nie zniknęło. Najdziwniej zachowała się szynkarka, która usłyszawszy jego rozmowy z innymi, z przerażenia wytrzeszczyła oczy, wymieniła kilka słów z właścicielem przybytku i ulotniła się w pośpiechu. Lederg nie chciał śledzić jej po nocy, by nie narazić się na jeszcze większą wrogość, dlatego odłożył rozmowę z nią na później.

Miał nadzieję, że kobieta pojawi się dziś w swoim miejscu pracy, i już układał w głowie pytania, jakie jej zada. Musiał być bardzo taktowny i ostrożny, by jeszcze bardziej jej nie wystraszyć.

W rogu izby, na wysłużonym taborecie, stało wiadro zimnej wody. Lederg obmył twarz z potu i oczyścił skórę mokrą płócienną szmatą. Kiedy nałożył na siebieienne szaty, do jego uszu dotarł zgielk. Kobięcy wrzask sprawił, że włosy stanęły mu dęba. Otworzył okiennice i wyjrzał na zewnątrz.

Na ścieżce przed przybytkiem panowało spore zamieszanie. Gromada ludzi otaczała ciemnowłosą szynkarkę. Jeden z mężczyzn popchnął ją i z płaczem padła w śnieg. Przez ciżbę przebiła się starucha, najważniejsza ze starszyny. Dopadła do kobiety, złapała ją za ramiona, po czym z niespodziewaną siłą uderzyła w twarz. Pozostałe członkinie starszyny, tylko nieco młodsze, ze zgorszeniem kręciły głowami.

Lederga opanowała wściekłość, krew nabiegła mu do twarzy, tętno przyspieszyło. Nie zastanawiając się zbyt długo, wybiegł z pokoju, w pośpiechu wciskając ramiona w rękawy ciężkiego wierzchniego odzienia. Na parterze nie było nikogo —

jak nigdy. Nad wygaszonym paleniskiem wisały opróżnione kotły.

Wpadł z szynku i ruszył na ciżbę. Złapał jakiegoś wieśniaka za bark i odepchnął go. To samo zrobił z następnym, ale jeszcze kolejny nie dał się tak łatwo. Odwrócił się i uderzył maga rękami w pierś, odpychając go.

— Nie wtrącajcie się! — krzyknął chłop.

Lederg zacisnął pięści, mierząc go wzrokiem.

— Co się tu wyprawia? — zapytał zimno.

Uwaga ciżby skoncentrowała się na nim, otoczyli go, na razie pozostawiając płaczącą w śniegu kobietę.

— To nie wasza sprawa, przybyszu. — Wyszła mu naprzeciw starsza wioski, siwa, chuda kobieta o twarzy naznaczonej głębokimi zmarszczkami i bliznami po ospie. Miała na sobie ciężkie koraliki. — Odejdźcie zająć się swoimi sprawami.

— Właśnie się nimi zajmuję. — Mag przetoczył wzrokiem po niespokojnym tłumku, by ostatecznie utkwic go w skulonej szynkarce. — Czym ta kobieta zasłużyła sobie na takie traktowanie?

— Kobieta, panie?! — wybuchnął nagle jeden z mężczyzn. — Toż to demoniczna nierządnicą! Przekleństwo sprowadziła na naszą wieś, teraz musi przejąć je na własne barki!

Kolejny wieśniak, zainspirowany przemową towarzysza, rzucił się w stronę szynkarki, by chwycić ją za włosy.

— Przekłeta kurwo, musisz zrobić, co do ciebie należy!

Lederg wyciągnął rękę i chwycił chłopca mocą telekinezy. Wykonując zamaszty gest, oderwał go od kobiety i rzucił nim w zaspę. Tłumek przepełniły okrzyki oburzenia i przerażenia, część wieśniaków wycofała się. Ci, którzy nieustępliwie zagra-

dzali magowi drogę, wkrótce rozstąpili się pod naporem fal te-
lekinezy.

— Póki tu jestem i póki nie dowiem się, czego chcecie od tej
kobiety, nikt nie położy na niej nawet palca. — Lederg zasłonił
nieszczęsną ofiarę i niedługo potem poczuł, jak drżące ramiona
obejmują mu kolana; krucha sylwetka przycisnęła się do jego nóg.

Starsza wioski z niesmakiem patrzyła na tę scenę, jednak
nie odważyła się podejść bliżej. Rozejrzała się w poszukiwaniu
wsparcia, lecz ciżba nie była już tak zbita, kobiety wycofały się
daleko, mężczyźni pobledli ze strachu.

— Panie magu, nie wiecie, z czym macie do czynienia — wy-
cedziła starucha. — Pomagając tej przeklętej dziewczce, sprowa-
dzacie na siebie nieszczęście. I kto wie, czy nie na nas!

— Nie sądzę, bym mógł wywołać zło większe od tego, które
wyrządzacie tu sami. — Przeniósł wzrok na przyczepioną do sie-
bie kobietę i przybrał łagodniejszy wyraz twarzy. — Powstań,
dziewczyno. Nic ci nie grozi.

Patrzyła na niego para przepelnionych łzami oczu, ale z ja-
kiegoś powodu nie ogarnęło go współczucie. W młodej twarzy
szynkarki tkwiło coś niedobrego. Nie chciał oceniać na podsta-
wie przeczucia, tym bardziej po tym, czego właśnie był świad-
kiem, ale nagle nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobieta wcale
nie zasługiwała na ratunek. Mimo wszystko pomógł jej wstać
i przytrzymał za ramię, bo ledwo trzymała się na miękkich no-
gach. Uczepiła się go mocniej i niczym zaszczute zwierzę łypnę-
ła w stronę starszej wioski.

— Matko, on to może zrobić — wymamrotała.

Lederg wyprostował się, nie rozumiejąc. Starucha nazywana
matką przez wszystkich mieszkańców Purgi patrzyła gniewnie.

— Oto, jak się wam odwdzięcza! — zagrzmiała zachrypniętym głosem. — Ostrzegalam was, panie!

— Matko! — zawyła kobieta, raptem rzucając się do kolan staruchy, która natychmiast się odsunęła i splunęła. — Czemu narażać kogokolwiek z wioski?! Obcy może to zrobić, władza magią, odpędzi od siebie nieszczęście!

— Tchórzliwa dziewczko. — Starsza drgnęła w stronę szynkar-ki, ale zatrzymała się pod srogim spojrzeniem maga. — To twoje dziecko. Ty musisz je zabić.

Lederg wstrzymał oddech. Zgromadzeni zaczęli coś wykrzykiwać, ale nie rozumiał, bo jego myśli uciekły gdzieś daleko.

— Co to ma znaczyć? — odezwał się w stłumiony sposób, kiedy okrzyki już ucichły.

— Błagam, matko! Dajcie mi szansę wyjaśnić! Niech obcy się tym zajmie, dla dobra naszej wsi!

Starucha powiodła wzrokiem po ciżbie, wśród której przetoczyły się szept i kilka przekleństw. Niechętnie skinęła głową.

— To twoja ostatnia szansa na odkupienie, nałożniczo demonów.

Kobieta zaprowadziła maga do swojej chaty. Niewielkie domostwo podzielone było na dwie izby. Zgadując po smrodzie i dobiegających zza ściany odgłosach, w jednej z nich musiały być co najmniej dwie świnie. Kobieta wyjaśniła, że jej mąż jest rzeźnikiem.

— Zamiast udzielać pomocy mężowi, pracujesz u boku szynkarza? — zapytał Lederg, siadając na ławce długiej na szerokość izby, która dzieliła pomieszczenie na dwa nibysegmenty.

W jednym z nich znajdował się w rogu piec z gliny i kamieni, w pobliżu którego rozsypano stertę drewna i rozrzucono

worki, w większości puste. W drugim umiejscowiona została prycza, całkiem solidna ława zastawiona glinianymi naczyniami, plecione kosze i nieduża skrzynia.

— Muszę, panie. — Kobieta przysiadła na skraju siennika, opuściła głowę. — Mąż skąpi mi nawet jedzenia. A i tak jest łaskawy, że pozwala mieszkać ze sobą pod jednym dachem. Szynek niedawno stracił żonę, potrzebna mu była dodatkowa para rąk do pracy.

Lederg pokiwał głową, coraz pewniejszy swoich podejrzeń.

— Jak ci na imię? — Postanowił zacząć tę rozmowę łagodnie.

— Szebora, panie. Ta, która zawsze podejmuje walkę.

Zdradzanie znaczenia swojego imienia, jeśli imię takowe miało, było zwyczajem panującym wśród niektórych prowincji Nivelos, choć nie zawsze chętnie praktykowanym. Ci, których miana nie hołubiły dobrych cech, a raczej wspominały o złych, zwykle odchodzili od owej praktyki w nadziei, że rozmówca nie zna starego, zanikającego już języka wystarczająco dobrze. Sam Lederg należał do tych, którzy cierpieli przez nadane im miano.

— Szebora — powtórzył. — Powiedz mi, proszę: czy dziecko, które widziałem w jaskini na wschód stąd, jest twoim synem?

Poruszyła się niespokojnie, skuliła, jakby szykowała się na przyjęcie ciosu.

— Tak, panie.

— Czemu jest tam, a nie tutaj, z tobą?

Szebora ukryła twarz w dłoniach, zaczęła drżeć.

— Panie, to dziecko jest przeklęte jeszcze bardziej niż ja — przemówiła jękliwie. — Włada czarną magią! Musieliśmy je przepędzić!

Lederg przysunął się bliżej pieca, chociaż przenikającego go teraz zimna nie przegoniłby żaden ogień.

— Jak długo...? Od jak dawna dziecko tam przebywa?

— Płynie już trzecia faza, odkąd przegnaliśmy tego potwora — wycedziła kobieta. — Na Nive i wszystkich bogów! Sądziłszy, że dawno już zdechl.

Mag poczuł ogromną ochotę, by uderzyć kobietę, którą parę chwil temu sam ratował przed przemocą.

— Czemu starsza zażądała dziś, byś go zabiła?

Kobieta podniosła na niego wzrok. W jej oczach błysnęła gniew.

— To wszystko przez was, panie. Gdybyście tu nie przybyli, gdybyście nie zaczęli wypytywać... Nikt się nie spodziewał, że to małe monstrum przeżyje do tej pory.

Lederg wpatrywał się w kobietę srogo, ale kontynuowała niespodziewanie śmiało:

— Widzicie, panie, wiedzieliśmy, że ten potwór jest przeklęty, od chwili narodzin. Jego twarz... była skażona.

— Skażona?

Worek na głowie — przypomniał sobie mężczyzna. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby czarni magowie byli zewnętrznie oznaczeni czy okaleczeni. Nie potrafił więc sobie wyobrazić, o czym dokładnie może mówić matka dziecka.

— Och, panie, nie chcecie tego zobaczyć! — zawołała kobieta, krzywiąc się z wielką odrazą. — Nie mogę zapomnieć, jak przyciskałam tę wstrętną małą główkę do własnej piersi! Bogowie, a potem pojawiły się te... obrazy, wizje. Jak tylko się go dotknę... Nie zrozumiecie, panie, sami musicie się przekonać. Wtedy pojmiecie, dlaczego chciałam udusić to monstrum wła-

snymi rękami, żeby zgniło! Ale nie mogłam. — Nagle zaniosła się płaczem. — Nie mogłam, bo przecież doprowadzenie do śmierci dziecka... na dodatek własnego, bogowie! Jakie nieszczęście by to na mnie sprowadziło? Na całą wioskę! Więc odchowaliśmy tego potwora. Jak tylko wystarczająco podrośł, trzymaliśmy go w izbie dla zwierząt, zamykaliśmy go tam, by nie szwendał się po wiosce i nie straszył ludzi, ale on zawsze uciekał! Chował się w opuszczonej stajni, a gdy śniegi topniały, spędzał tam nawet noce.

Lederg nie potrafił wydusić słowa. Strach przed czarną magią nawet w polowie nie usprawiedliwiał postępowania, o jakim opowiadała mu ta kobieta. Gotowało się w nim, a jednak słuchał dalej.

— Za długo pozwalaliśmy mu żyć pośród nas — kontynuowała, głośno pociągając nosem. — Kiedy obudziły się w nim te... magiczne moce, starszyzna postanowiła, że musimy zaryzykować. Że nie możemy dłużej go tu trzymać. Należało go wygnąć i modlić się, by bogowie nie obwinili nas za jego śmierć.

— Ile cykli ma to dziecko? — Lederg wpatrywał się w przestrzeń przed sobą; ledwo przeciskał słowa przez gardło.

— Sześć, panie.

Wcześniej — pomyślał. Zwykle magiczne zdolności budziły się u dzieci po ósmym do dziesiątego cyklu. Choć moce płynęły w żyłach magów od urodzenia, potrzebowały czasu, by się aktywować.

— Czy jesteś pewna, że magia, której dziecko zaczęło używać, jest czarna?

— Panie, nie dało się jej z niczym innym pomylić. Czarny ogień na jego rękach, z niebieską poświatą. I te... bogowie,

cóżkolwiek to jest, mógłby tym rozpruć, rozszarpać na kawałki!

Lederg poczuł, że ręce zaczynają mu drżeć. Zaciśnął je na kolanach. Przed oczami stanął mu pomiot cienia strzegący tunelu w jaskini. To ten chłopiec przyzwał demona — pomyślał ze zgrozą.

— Czy oprócz czarnej magii... zaobserwowaliście coś jeszcze?

Kobieta kiwała głową, ocierając łzy z policzków.

— Rzucal przedmiotami, podnosił nawet te dużo cięższe od siebie, nie dotykając ich! A kiedy za którymś razem mąż zbił go za to do krwi, on poświecił na siniaki blaskiem bijącym mu z rąk, i zniknęły!

Telekineza i zdolności uzdrawiające? — zdumiał się w myślach Lederg. Nie spotkał nigdy wcześniej maga, który posiadałby władzę nad więcej niż jedną magiczną zdolnością umysłu. Jeden żywioł, jedna zdolność — taka była zasada. Podniósł się z miejsca z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

— A więc uznaliście, że skoro to dziecko nadal żyje, jednak trzeba wziąć sprawę w swoje ręce?

Kobieta skuliła się jeszcze bardziej pod spojrzeniem, którym ją obdarzył. Pokiwała głową.

— Starsza była wściekła. Wszyscy sądzą, że po kryjomu pomagałam dziecku przetrwać. Jak mogłabym to robić?! A jednak starsza zażądała, bym je zabiła, ściągając gniew bogów na siebie. To okrutne! — zawyła, a Lederg poczuł do niej wstręt. — Dlaczego mam narażać się na nieszczęście, dlaczego? Czy niewystarczająco wycierpiałam, zmuszona odchowić tego potwora?! Czy niewystarczająco cierpiałam, znosząc oskarżenia o spółkowanie z demonami?!

Mag pomyślał, że to bardzo ironiczne, że wioska rządona przez kobiety w pierwszej kolejności szuka winy u jednej z własnego grona. Z pewnością przez myśl im nie przeszło, że to mąż Szebory mógł zawinąć. Pewnie uznano go za ofiarę okrutnego losu. Lederg natomiast sądził, że wina prawdopodobnie leży po niczyjej stronie.

— Pozwól, że w czymś cię uświadomię, kobieto. Nawet ty musisz wiedzieć o Varanside. — Gdy roztrzęsiona szynkarka po kiwała głową, tłumaczył dalej: — Najpewniej wierzysz, że to od niej pochodzi czarna magia. A czy wiesz, jak ją przekazuje? Jeśli nie przez lędźwie swoich czarnych magów, krąży po świecie w postaci niewidzialnej energii. Krąży i może naznaczyć każde ludzkie dziecko, zarówno narodzone, jak i to noszone jeszcze pod sercem. Tak właśnie stało się z twoim: zostało dotknięte, gdy jeszcze byłaś brzemienna.

Szebora spoglądała na niego bez zrozumienia, szklącymi się oczami. Mag odwrócił głowę, nie mogąc na nią patrzeć.

— Zmierzam do tego, że zrodzenie czarnego maga nie musiało wiązać się z żadnym spółkowaniem. Warto, byś uświadomiła w tym resztę.

— Panie... Oni nie pojmą, nie uwierzą, a wy... Jesteście margiem. — Kobieta pochyliła głowę i uczepiła się jego szaty. Natychmiast wyszarpnął materiał z jej rąk. — Błagam was, panie... Zdejmijcie ze mnie to brzemię. Jeśli go nie zabiję, cała wieś mnie wyklnie. Jeśli zaś zrobię, czego chcę, spadnie na mnie gniew bogów. A wy...

— Mogę go zabić i uniknąć kary? — wtrącił się szorstko.

— Wy przynajmniej macie szansę się obronić!

Lederg chciał dziękować losowi za przekonania, jakimi kierowali się mieszkańcy wioski — dziecko przeżyło do tej pory tylko z powodu wiary w to, że mordercę spotka wielkie nieszczęście — lecz był wściekły. Wściekły na cały świat, wiedział bowiem, że nie tylko ci ludzie są gotowi zabijać ze strachu przed czarną magią. Wiedział, że gdyby to dziecko urodziło się gdziekolwiek indziej, spotkałby je taki sam albo nawet i gorszy los. Sam również się bał. Zdawał sobie sprawę, że chłopiec, któremu teraz z całego serca współczuł, w przyszłości mógł stać się niebezpiecznym szaleńcem.

— Czy dziecko ma jakieś imię? — zapytał, nie patrząc na Szeborę.

— Panie?

— Czy jesteś głucha, kobieto? Pytałem o imię dziecka.

— Starszyzna nie zgodziła się naznaczyć go imieniem, ale... — Siennik zatrzeszczał, kobieta kręciła się na miejscu nerwowo, jakby wzbraniała się przed wypowiedzeniem jakiegoś bezceństwa. — Namir... Kiedy jeszcze nosiłam tego potwora w swoim łonie, nie wiedząc, czym jest, chcieliśmy nadać mu imię Namir. Ten, dzięki któremu nastanie pokój.

— Namir... — Lederg skrzywił się z goryczą.

— Tak. — Kobieta była zgorzona, głos nadal jej drżał, choć opanowała już płacz. — A jednak to tylko potwór niosący zło.

Mag odwrócił się gwałtownie, a kobieta jęknęła i zasłoniła się. Zamrugał... Mimo wszystko zawstydził się sam przed sobą, że już drugi raz zapragnął ją uderzyć. Ale nie potrafił, nawet pomimo całej głębokiej odrazy, jaką do niej żywił.

— Zajmę się twoim synem. — Gestem powstrzymał kobietę, która ponownie chciała ucześcić się jego szat. — Źle mnie zrozu-

miałas. Nie mam zamiaru go zabijać. Żadne z was również tego nie zrobi. Spokojnie, poinformuję starszą o swoich planach. Zabiorę dziecko daleko stąd. Może wtedy twój los się odmieni, chociaż nie jestem pewien, czy na to zasługujesz.

Lederg powrócił w okolice jaskini jeszcze tego samego dnia. Na miejsce dotarł koło południa. Zanim zdecydował się wejść do grotty, przeszukał pobliski bór, jednak po chłopcu nie było żadnego śladu.

Kiedy przemierzał głucho, ciemne tunele, tak jak poprzednio oświetlał sobie drogę płomieniem przyzwanym w dłoni. Wyteęzał wzrok pełen skupienia i napięcia. Spodziewał się znów spotkać demona i nie miał pewności, czy tym razem nie zostanie przez niego zaatakowany.

Miejsce, w którym poprzednio natknął się na pozostałości obozu, dziś było opustoszałe. Przemierzał przestrzeń wzdłuż i wszerz, aż dotarł do ścian, których wcześniej nie miał okazji zobaczyć. W podziemiach tracił poczucie czasu. Nie wiedział, ile zajęło mu przeszukiwanie tej obszernej części jaskini, lecz kiedy był już pewien, że zbadał każdy zakamarek, musiał na chwilę zgasić płomień, by odzyskać siły.

Właśnie wtedy, otoczony nieprzeniknionymi ciemnościami, usłyszał ciche stukanie. Wstrzymał oddech, próbując namierzyć kierunek, z którego dochodził dźwięk. Cokolwiek wydawało odgłos, zbliżało się i wkrótce zaczęło krążyć wokół niego. Widziało go, w tym kompletnym mroku miało nad nim przewagę.

Lederg miał świadomość, że jego magiczne siły są częściowo nadwyrężone, więc tym razem zapalił między palcami tylko skromny płomyczek. To jednak wystarczyło... Zobaczył cień

przemykający na granicy poświaty i ciemności, a potem świecące jak żar oczy. Potworne ślepie wyglądały na niego z mroku. Usłyszał zgrzyt długich pazurów po skalnym podłożu.

Przelknął ślinę, przez jakieś dwa oddechy pozostawał w bezruchu. Demon przemówił tym samym skrzekliwym tonem co poprzednio, wypowiadał te same niezrozumiałe słowa. Mag bardzo powoli unióśł wolną od płomienia rękę. Trzymając ją wyciągniętą w kierunku monstrum, zaczął się pochylać. Czerwone oczy przypatrywały mu się wrogo.

— Strzeżesz chłopca, prawda? — wydusił, sięgając po sakwę, którą rzucił na ziemię, kiedy zatrzymywał się na odpoczynek. — Chcę mu tylko coś przekazać.

Pomiot cienia przemieścił się wprzód, oczy zbliżyły się, lecz nadal nie przekroczył granicy, którą wydzielalo światło bijące od płomyka na ręce maga. Ten wsunął dłoń do sakwy i ostrożnie wyciągnął z niej zawinięty w płótno pakunek.

— Świeże ubranie, trochę jedzenia i woda — wyjaśnił, zmuszając się do patrzenia prosto w ślepie demona, co przychodziło mu z trudem.

Prowiant i czyste odzienie zdobył od wieśniaków, a właściwie wymusił na nich, by zorganizowali małą zbiórkę. Mógłby im zapłacić, akademia w pełni finansowała bowiem jego podróże badawcze i miał przy sobie jeszcze sporo enarów. Jednak pamiętając o okrucieństwie, jakiego dopuścili się mieszkańcy Purgi, uznał, że nie warto tracić na nich pieniędzy. Utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy przynieśli mu stare łachmany zamiast nowych ubrań, twarde jak kamień chleb i nadgniłe kawałki sera. Cisnąwszy te produkty mocą telekinezy, szybko uświadomił „darczyńców”, że nie takiej zbiórki oczekuje. Drugi

raz nie popełnili tego samego błędu, lecz słyszał, jak mamrotali pod nosem, że marnotrawią jedzenie na dokarmianie potwora.

Teraz przed magiem stał prawdziwy demon, który wynurzył z cienia łeb i wyciągnął długą szyję. Mięśnie pod skórą Lederga napięły się, oddech nieznacznie przyspieszył. Gdyby chciał na stworza zapolować, miał go na wyciągnięcie ręki. Był jednak zmęczony i tak samo wystawiony na atak, ponadto niepewny, czy chce likwidować pomiot przyzwany przez chłopca. Przynajmniej nie teraz i nie w ten sposób.

Demon pochylił głowę, przycisnął płaską twarz do leżącego na ziemi pakunku. Zdawało się, że bada jego zawartość, obwąchuje. Potem pochwycił zawiniątko w zęby i uniósł je. Przed oczami maga ziscił się groteskowy widok. Wyszczерzone na upiornie ludzkiej twarzy kły wbijały się głęboko w materiał. Lederg miał nadzieję, że pomiot niczego nie uszkodzi.

— Jestem przyjacielem, nie wrogiem — szepnął.

Demon przez mrozącą krew w żyłach chwilę dręczył go wzrokiem, po czym wycofał się w głęboką ciemność jaskini. Stukanie pazurów o skalne podłoże oddalało się. Gdy Lederg przestał je słyszeć, osunął się na kolana i otarł pot z czoła.

Mag pojawiał się w grocie co parę dni i powtarzał ten sam rytuał. Przybywał w to samo miejsce jaskini, gdzie demon wychodził mu naprzeciw, zostawiał zawiniątko zawierające głównie pożywienie i wodę, po czym oddalał się z duszą na ramieniu. Aż któregoś razu z ciemności wyłoniło się nie tylko monstrum, ale i towarzyszące mu dziecko...

Lederga ogarnęły mieszane uczucia. Przekonawszy się, że dziecko nadal żyje — że nie porozumiewał się z pomiotem

na próżno — odczuł ulgę. Jednak w wychudzonym chłopcu było coś tak przerażającego, że kiedy miał go już na kilka kroków przed sobą, odjęło mu mowę...

Jak na swój wiek, chłopak był bardzo wyskoki. Ciepła, wełniana szata, którą dostał od maga, zwisała na długich i chudych kończynach. Zarzucony na głowę worek z dwoma wyciętymi otworami zakrywał również szyję. Jasne oczy błyszczały jak lód. Teraz Lederg miał okazję spostrzec, że prawe z nich jest mniejsze od lewego — przymrużone.

— Witaj, jestem Lederg, ten, który na poły jeno jest drogi — mówił mag ze ściśniętym gardłem. Coś podkusiło go, by zdradzić znaczenie swego niechlebnego miana. — Czemu zawdzięczam twoją obecność?

Chłopiec milczał. Jego wzrok powędrował w kierunku sakwy.

— Tak, racja, dziś też coś dla ciebie mam. — Mężczyzna spróbował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się. Sięgnął do sakwy i wydobyl z niej taki sam jak zwykle pakunek. — Proszę.

Dziecko nieufnie wpatrywało się w wyciągniętą z podarunkiem rękę. Towarzyszący mu pomiot wydał z gardła cichy warkot. Gęsia skórka wstąpiła magowi na ramiona, ale nie zrezygnował z pomysłu. Zachęcająco potrząsnął zawiniątkiem.

— Weź. Możesz mi zaufać.

Chude palce najpierw niepewnie dotknęły pakunku w miejscu dalekim od dłoni maga, a potem zacisnęły się jak pazury. Chłopiec wyrwał podarek i skrył się w mroku. Demon o czerwonych ślepiach pozostał w bezruchu i obserwował Lederga uważnie, ten nie zrażał się jednak, chcąc za wszelką cenę zrealizować plan, który ułożył jakiś czas temu.

Rzucił sakwę na ziemię i zbliżywszy płomień, oświetlił jej wnętrze. Wyszperał pergamin, na którym widniały rysunki kilku tutejszych gatunków zwierząt. Pozostawił tę kartkę na suchym fragmencie skał i wycofał się bez słowa.

Następne spędzane przy chłopcu dni nastrajały maga bardzo pozytywnie. Początkowo chłopiec — zawsze w worku zasłaniającym głowę — znikał momentalnie, jak tylko dostał swój niewielki zapas jedzenia, jednak któregoś razu zamiast uciec w mrok, przycisnął mały pakunek do piersi i wpatrzył się w maga w wyczekiwaniu.

— O co chodzi? — zapytał Lederg, po raz kolejny uświadamiając sobie, że spojrzenie chłopca może być dużo bardziej świadrujące od ślepiów nieopuszczającego go na krok demona.

Dziecko jak zwykle milczało. Wprawdzie mag wydobyl wcześniej z Szebory informację, że jej syn potrafi mówić, ale do tej chwili zdążył w to zwątpić. Chłopiec nadal nie wydawał z siebie nawet pomruku — po prostu milczał, ze wzrokiem utkwionym w sakwie leżącej u stóp mężczyzny.

Lederg przypomniał sobie o rysunkach, które zostawił mu jakiś czas temu. Zniknęły i teraz był już pewien dlaczego.

Wyszperał z sakwy kilka kartek pergaminu z paroma szkicami i notatkami na temat napotkanej w podróży roślinności. Były to same znane gatunki, lecz stan ich występowania oraz rozwoju również interesował wszystkie akademie. Szczególnie że na srogich niveloskich ziemiach roślinność poddawała się nieustannym zmianom, delikatnym i ledwo zauważalnym, lecz na przestrzeni wielu cykli były to zmiany znaczące, umożliwiające coraz sprawniejsze dostosowanie się flory do nieprzyjaznych warunków.

— To z pewnością nie zaciekawia cię tak jak poprzednie szkice, ale następnym razem mogę ci narysować coś bardziej interesującego.

Chłopiec telekinezą wyciągnął notatki z rąk maga i zaczął je przeglądać zaintrygowany. Lederg zamyślił się nad tym, co właśnie się stało, po czym wykonał niepewny krok w kierunku dziecka, by poświecić mu płomieniem.

— To ciemiernik — wyjaśnił, gdy chłopiec na dłużej zatrzymał wzrok na jednej z kartek. — Te piękne białe kwiaty to dzieci pewnej bogini. Mówi się, że można ją czasami zobaczyć kroczącą wśród śniegu, a za nią wyrastające jej spod stóp ciemierniki, jeden po drugim...

Lederg zamilkł, uciszony przesywającym spojrzeniem. Jasne oczy patrzyły na niego z pogardą niepasującą do dziecka. Przeszły go dreszcze. Chłopiec wydawał się urażony, że wciska mu się jakąś niedorzeczną bajeczkę.

— Hmm, a więc interesują cię tylko fakty? — Lederg uśmiechnął się nieznacznie, wcale nie traktując swojego pytania poważnie. Nie sądził, że chłopiec mógł go w pełni zrozumieć. Jednak ten skinął głową, a magowi po raz kolejny zrobiło się zimno. W tym dziecku była jakaś mądrość. Dojrzałość, która dodawała mu upiorności. — Dobrze, zdradzę ci więc, że ciemiernik ma właściwości zarówno uzdrawiające, jak i trujące. Pojawia się, nie bacząc na śnieg, tuż przed Białym Świętem odprawianym co cykl na cześć Nive. Czasami nazywany jest również białą różą.

Nie dowiedział się, ile z jego wygłoszonych w poczuciu tworgi słów rzeczywiście sięgnęło uwagi chłopca ani które z nich zostały przez niego zrozumiane, gdyż raptem zapłonął ogień.

Lederg odskoczył. Dziecko trzymało teraz pakunek i pergamin w jednej dłoni, a na drugiej dzierżyło gwałtownie przywołane płomienie. Czarne jęzory ognia przeplatały się z niebieską poświatą, rzucając wokół zimne światło. Chłopiec ruszył przez obszerną jaskinię w kierunku tunelu, a mag po chwili wahania zgasił własny płomień i dołączył do chłopca. Demon o czerwonych oczach kroczył tuż za nimi...

Dziecko zaprowadziło Lederga do swojej kryjówki. Obóz złożony z legowiska ze szmat i przygotowanego paleniska mieścił się na brzegu podziemnego jeziora, do którego docierało się tunelem. Ze sklepienia ziało kilka szczelin wpuszczających odrobinę światła. Skąły migotały w tym świetle śliskimi kamieniami, tafla jeziora była gładka i przejrzysta. Chłopiec zbliżył się do paleniska i podłożył czarny ogień. Odbijające się od wody promienie mieszały się z niebieską poświatą płomienia.

Dziecko złożyło pakunek z jedzeniem obok legowiska i usiadło ze skrzyżowanymi nogami na szmatach. Położyło przed sobą pergamin i wymacało na ziemi zwęglony kawałek drewna. Po chwili Lederg mógł obserwować, jak chłopiec skrupulatnie przerysowuje szkic kwiatu ciemiernika. Rozejrzął się intuicyjnie i wtedy spostrzegł malunki na skalnej ścianie. Przedstawiały zwierzęta z notatek, które zostawił dziecku uprzednio. Rysunki skalne zdążyły mocno się wytrzeć, ale i tak można było stwierdzić, że zostały wykonane ze starannością nieprzystającą do dziecka liczącego sobie tylko sześć cykli. Mimo wszystko mag uznałby całe to szkicowanie za zwyczajną dziecięcą zabawę, jednak w dziwnych oczach chłopca błyszczało zawzięte skupienie.

Lederg odnotował w myślach w milczeniu, że pomiot cienia położył się na skałach w pobliżu swojego małego pana. Chwilę

trwało, nim chłopiec skończył rysunek, następnie począł wpatrywać się w kartkę z jeszcze większą uwagą. A potem zaczął przepisywać litery.

Mag zbliżył się i kucnąwszy naprzeciw, przyglądał się powoli powstającym symbolom. Zapiski sporządzono w języku trzech królestw. Litery na pergaminie były drobne i dziecko miało problem z ich odwzorowaniem. Tym bardziej że kawałek zwęglonego drewnianka, którym się posługiwało, nie nadawał się do tworzenia wąskich linii.

— Czy wiesz, jak to odczytać? — Lederg wskazał na narysowaną przez chłopca literę.

Ten najpierw podniósł na niego upiorne oczy, a potem odwrócił ukrytą w worku głowę i potrząsnął nią. Wydawał się zawstydzony swoją niewiedzą.

— To nic złego — zapewnił go mag i znowu się rozejrzał.

Przy ognisku znalazł inny węgielek — wziął go do ręki. Czuł się zaintrygowany, ale i nieco zatrwożony tym, jak ten chłopiec rwie się do pozyskiwania wiedzy. Lederga nie dziwiło, że chłopię nie potrafiło czytać. W wiosce takiej jak Purga nie było nikogo, kto mógłby je tego nauczyć. Jednak dziecko miało w sobie ciekawość świata. Mag poprzysiągł w myślach, że jeśli uda mu się zabrać je z tego przeklętego miejsca, nie pozwoli, by ten dziecięco szczery głód nauki się zmarnował.

Ponownie kucnął, tym razem u boku chłopca. Ten poruszył się niespokojnie. Lederg obrócił węgielek w dłoni i zaczął zapisywać duże litery na skalnym podłożu.

— Spójrz tutaj — powiedział.

Dziecko odsunęło pergamin i z zaciekawieniem obserwowało, jak mężczyzna rysuje kolejne symbole. Czasami zerkało

na kartkę, jakby szukało w tamtych notatkach liter, które teraz powstawały przed nim na skale.

– NAMIR – odczytał Lederg głośno i wyraźnie, wskazując każdą literę z osobna. Powtórzył ten proces dwa razy i przypatrzył się chłopcu. – Namir. To właśnie zapisałem.

Oczy spoglądające z otworów worka zmieniły wyraz – zmrużyły się, mniejsze z nich z lekkim oporem. Dziecko nie rozumiało, o czym mowa. Lederg z bólem serca uprzytomnił sobie, że do tej pory ani razu nie słyszało miana, które planowano mu nadać.

– To twoje imię – powiedział powoli.

Chłopiec wyprostował plecy, rozchylił powieki. Zza zakrywającego twarz materiału dobiegło ciche westchnięcie. Potem spuścił głowę, chwycił jedną ze szmat i zaczął pospiesznie wycierać literę po literze.

– Nie – odezwał się niespodziewanie, a zabrzmiało to bardziej jak chrobot czegoś ostrego przesuwającego się po skałach. Jego głos – mimo dziecięcej barwy – miał złowrogą, warkotliwą tonację.

Lederg nie reagował przez jakieś dwa oddechy. Przyglądał się temu, jak zapis liter znika ze skalnego podłoża, śmiało rozcierany przez chłopca. Nie był przygotowany na to, że dziecko przemówi, i sam również milczał. Wnet usłyszał gardłowy warkot i ku swojemu przerażeniu zobaczył, że pomiot cienia podnosi się ze swojego miejsca.

Mag również stanął na nogi, zrobił kilka kroków do tyłu. Demon wlepił w niego spojrzenie czerwonych oczu i szczyrzył długie zębiska w szyderyczym uśmiechu. Wydobywające się z jego gardła odgłosy dawały do zrozumienia, że Lederg już nie jest

tu mile widziany. Mag uniósł obie dłonie w uspokajającym geście i począł się ostrożnie przemieszczać ku wylotowi groty. Chłopiec odwrócił się do niego plecami i zgarbił.

Znalazszy się u wejścia do tunelu, mężczyzna zebrał się na odwagę, by powiedzieć coś jeszcze:

– Namir to ten, dzięki któremu nastanie pokój.

Odpowiedział mu – o wiele głośniejszy od poprzedniego – warkot pomiotu, więc obrócił się prędko i zanurzył w ciemności korytarza.

Rozdział IV

Konie pędziły na złamanie karku. Bagnista woda tryskała pod uderzającymi o grząskie podłoże kopytami. Pęd zrzucił kaptur z głowy Wallace'a i rozwiewał splecione włosy nieprzytomnej Irvette. Chłopak z bijącym sercem zerkał na przyjaciółkę, którą zwierznik Silvaru utrzymywał w siodle przed sobą przy pomocy swoich telekinetycznych zdolności. Czarne plamy pod skórą dziewczyny sięgały już prawej strony jej bezwładnej szyi i naznaczyły części szczęki. Zwiększyły swój obręb również na dłoni, z której Wallace ściągnął rękawiczkę, gdy spanikowany zerwał z ramienia dziewczyny bandaż i próbował bezskutecznie złagodzić działanie skażenia lawendową maścią.

Przebyli mokradła szybko niczym wiatr, niemal zajeżdżając wierzchowce. Gdy znaleźli się pod lasem, konie miały na sobie mnóstwo brudnej piany i szeroko rozwierały z wysiłku nozdrza.

— Dalej nie damy rady, musimy zwolnić.

Wallace nie odpowiedział na słowa pana Silvaru. Widok mrocznej gęstwiny, do której mieli za chwilę wkroczyć, wprawiał go w odrętwienie. Nigdy jeszcze nie widział tak potężnych, niebotycznych drzew o korze ciemnej niemal jak nocne niebo, rosnących niesłychanie gęsto przy sobie, splatających gałęzie i konary w silnym uścisku. Las ciągnął się na wzniesieniu ponad

mokradłami, a zbocze porastała gęstwina ciernistych krzewów, korzeni i baniastych pnączy.

Zwierzchnik spiął wykończonego karego wierzchowca, zmuszając go do jeszcze jednego wysiłku. Zwierzę z wytrzeszczonymi oczami zaczęło wspinać się po zboczu, obierając mniej zarośniętą ścieżkę. Wallace poprowadził gniadosza tą samą trasą, a siwek dziewczyny – objuczony teraz tylko ekwipunkiem i przywiązany do gniadego – posłusznie podążył za nim.

Wnętrze lasu było przerażająco mroczne. Promienie słońca z ledwością przeciskały się przez zbitą kopułę ciemnozielonych koron. Okazałe korzenie wystawały z pokrytej mchem ziemi, tworząc gdzieniegdzie łuki tak wysokie, że przejeżdżali pod nimi z lekko pochylonymi głowami. Z gałęzi zwisały ciężkie liście, ostre pnącza rozpościerały się wszędzie. Gdy Wallace pozwalał sobie na rozglądanie się dookoła, kręciło mu się w głowie i ku swemu zdumieniu dochodził do wniosku, że nie jest w stanie stwierdzić, z której strony przybyli. Wśród tego gąszczu powietrze było ciepłe, a jednak chłopak trząsał się jak na zimnie. Strach i zmartwienie krążyły mu nieustannie pod skórą, co rusz napinając mięśnie. Twarz zwierzchnika, bardziej szara niż zwykle, nie napawała Wallace'a spokojem. Tenare zmęczył się używaniem zdolności magicznych i jeszcze pod lasem, gdy już zwolnili, zaczął przytrzymywać dziewczynę samym ramieniem. Podróżowali mozolnie – kierowanie wierzchowcami między ciasnotą gargantuicznych drzew było okropnie trudne.

– Czy jesteś pewien, panie, że pamiętasz drogę?! – Wallace zmusił się do podniesienia głosu.

– Pamiętam – odpowiedział tenare przez ściśnięte gardło. – Mestyrio, miej nas w swojej opiece.

Po jakiejś świecy od wkroczenia do lasu drzewa wreszcie zaczęły się rozstępować i do poszycia docierało coraz więcej światła. Nie dodawało to jednak Wallace'owi otuchy, jako że zwierzchnik poinformował go, że zbliżają się do kryjówki potwora. Wtedy to zsiadli z koni i pozostawili je przywiązane do pochyłonych nad ziemią konarów. Wallace wziął nieprzytomną Irvette na ręce. Wzdrygnął się, poczuwszy gorąc bijący od chorej strony jej ciała. Mimo to przycisnął ją do piersi, w duchu dziękując bogom, że jest taka lekka. Oczami wyobraźni widział, jak potężne zębiska wyrrywają mu ją z rąk, a on nie może nic zrobić. Próbował odganiać te koszmarne wizje, przypominając sobie, że tenare wypowiedział się o tym, u którego mieli szukać pomocy, częściowo jako o człowieku. Te pocieszenia jednak nie skutkowały – głos, który usłyszał niedawno przez Nexam, był zbyt upiorny, nieludzki.

Zwierzchnik głęboko wciągnął powietrze i począł się uważnie rozglądać.

– Namirze! – zawołał głośno.

Wallace potrzebował tylko chwili, by pojąć, że właśnie usłyszał prawdziwe imię Potwora z Damanor.

– Namirze!

Nie było żadnej odpowiedzi, lecz ich oczom ukazał się zarys polany porosłej z rzadka małymi drzewkami. Pośród tych drzewnych karzełek widniały dwie niezbyt spektakularne pod względem rozmiaru budowle. Wallace nawet z oddali spostrzegł, że zostały wzniesione przez tenare, a kiedy się do nich zbliżyli, tylko upewnił się w tym przekonaniu.

Mniejszy z budynków wykonano z gładkich bloków, drugi sprawiał wrażenie odlanego w skale niczym w gotowej formie –

z tła tego litego budynku wyraźnie odcinały się drewniane drzwi i okiennica. O ścianę mniejszego opierał się stół, którego nadzwyczaj długie nogi upleciono z grubych konarów. Po obu jego stronach leżały różnego rozmiaru skrzynie, niektóre z nich zarosłe przy dnie trawskiem. Była tu też ławka z wyjątkowo jasnej kamiennej masy oraz krąg przygotowany na ognisko. Dalej dało się dojrzeć zielone usypisko i drzwi prowadzące do jego wnętrza. W pobliżu ciągnęły się grządki podłużnego ogródka. Na jego skraju zaś, w towarzystwie kilku drewnianych wiader, stała obejmowana splotami gałęzi wielka beczka z wbitymi dwoma kranikami. Wallace z bólem serca pomyślał, że Irvette zainteresowałaby się pielęgnowanymi na zagonikach ziołami. Tymczasem jej bezwładne, nagrzane ciało zaczęło raz po raz dygotać w jego ramionach.

— Gorzej z nią — wydusił, spoglądając na wyraźnie spiętego tenare.

Ten tylko skinął głową, lustrując otoczenie z czujnością.

Wallace rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby położyć drżącą Irvette. Jako że leże potwora nie okazało się tak straszne, jak przewidywał, nabrał odwagi i pomyślał o wdarciu się do jednej z chat. Zrobił dwa długie kroki w kierunku większej z nich i wtedy za jego plecami rozległ się mrozący krew w żyłach głos:

— Kazałem się wam wynosić.

Chłopak przelknął ślinę, zanim zdobył się na ruch. Gdy odwrócił się przez ramię, skóra mu ścierpła na widok tego, który chwilię temu przemówił.

Jeżeli był człowiekiem, to mocno wyrośniętym, na oko mierzącym jakieś siedem stóp. Wallace nie miał pewności, czy kie-

dykolwiek widział tak wysokiego tenare, a była to rasa charakteryzująca się pokaźnym wzrostem. Mężczyzna, a może potwór, odziany był w powłóczęstą, czarną szatę; spodnie były luźne, a tunika szeroka, z długimi rękawami. Na głowie również miał okrycie, a twarz chował za długą zasłoną. Widoczne były jedynie oczy, jedno wyraźnie mniejsze od drugiego i lekko przymrużone — oba były przeraźliwie jasne i patrzyły lodowato.

Wallace chciał coś odpowiedzieć, jednak słowa uwięzły mu w gardle. Cofnął się o krok, ciało Irvette nagle zdało się cięższe. Pan Silvaru znalazł się u jego boku — nie wiedzieć kiedy.

— Namirze...

Dziwaczne oczy potwora skierowały swoją przenikliwość na chorą dziewczynę. Materiał zasłony drgnął od słyszalnego wydechu.

— Zabierajcie ją stąd.

— Namirze. — Zwierzchnik dał krok naprzód, po części zasłaniając Wallace'a. — Ta dziewczyna umiera.

— Czemu miałoby mnie to obchodzić?

Głos potwora nie był zdeformowany tak jak wtedy — gdy przemawiał przez wisior — a jednak jego brzmienie nadal przywodziło na myśl warczącą bestię.

Ciało Irvette, jak dotąd targane dreszczami jedynie raz na jakiś czas, niespodziewanie zadygotało w konwulsjach tak silnych, że Wallace prawie ją upuścił. Spomiędzy spuchniętych, sinych warg dziewczyny wydostała się piana, a czarne plamy rozlały się pod skórą prawego policzka. Tętno chłopaka przyspieszyło, w panice zaczął wołać przyjaciółkę po imieniu i prędko położył ją wśród niewysokiej trawy, obawiając się, że dłużej jej nie utrzyma.

— Co się dzieje, na bogów?!

Zwierzchnik klęknął na jedno kolano, łapiąc rzucające się ciało dziewczyny za ramiona. Natychmiast jednak cofnęła ręce i syknął z bólu. Dłoń, która zetknęła się z ubraniem w miejscu skażenia Irvette, została dotkliwie sparzona.

— Namirze! Ona się zaraz wykończy!

Potwór stał nad nimi w bezruchu, z beznamiętnym spojrzeniem. Nie odzywał się.

— Namirze! — Zwierzchnik łypnął na niego rozgorączkowany. — Chcesz mieć kolejne niewinne życie na swoim sumieniu?!

Patrzył na podskakujące w konwulsjach ciało młodej dziewczyny i nie potrafił się poruszyć. Wspomnienia złośliwie migaly mu przed oczami, powstrzymując przed jakąkolwiek reakcją. Jeżeli jej pomoże, wpakuje się w coś, czego z czasem żarliwie pożąda. Był tego pewien. Powinien opuścić te tereny, jak tylko Hasan wspomniał mu o dwójce podróży.

— Chcesz, żeby umarła u twoich stóp?! Chcesz mi znów udowodnić, że zasługujesz na swój przydomek, przeklęty potworze?! — Słowa Randisa wyrwały go z otępienia.

— Cofnijcie się. — Namir usłyszał wypowiedaną przez siebie komendę, jeszcze zanim zdążył o niej pomyśleć.

— Niedoczekanie! Co masz zamiar...

Namir odepchnął młodego chłopaka falą telekinezy i rzucił go na ziemię. Randis odskoczył z tenarskimi przekleństwami na ustach, a potwór kucnął przy dziewczynie i zawiesił dłoń nad jej trzęsącą się sylwetką. Obrócił ją na bok przy pomocy telekinezy i tym samym sposobem odsunął połą płaszcz oraz podwinął rękaw koszuli. Jej ramię — od nadgarstka wzwyż —

było rozległe skażone, gorzej niż szyja i szczęka. Czarne place pod skórą przelewały się jak gęste plamy tłuszczu na wodzie. Nie było to *Spellium* – tego zaklęcia nie miał kto kontrolować – lecz do złudzenia je przypominało. Nie było to również skażenie, które szpeciło jego własne ciało, przez co musiał ukrywać się przed światem. Nie było to niczym, co mógłby w tej chwili rozpoznać...

Jednak mógł coś zrobić, zaryzykować. Wziął głęboki oddech i skupił się na czarnej magii, która rozpychała się pod skórą dziewczyny. Chwytał czarną energię, zacisnął zęby. Paskudne pelzające na granicach umysłu pragnienie, by stracić kontrolę, było czymś, co dawno temu zapomniał. Teraz musiał ponownie stawiać temu czoła. Nie bez wysiłku – kawałek po kawałku zaczął wyciągać z dziewczyny skażenie, a jej konwulsje stopniowo ustępowały.

Kątem oka spostrzegł, że chłopak pozbierał się już z ziemi i przypatrywał wszystkiemu z pewnej odległości, błady na twarzy. Randis miał równie nietęgą minę.

Zajęcie było wykańczające, a mazista czarna substancja wydobywająca się przez rozszerzające się na skórze pory wyglądała co najmniej nieapetycznie. Wkrótce obaj obserwatorzy odwrócili się od odrażającego widoku. Maź zmieniała się w czarne opary, które szybko rozplywały się w powietrzu. Miejsca na skórze, skąd plamy znikaly, robiły się mocno zaczerwienione. Wkrótce spuchnięte wargi dziewczyny drgnęły i wy dostało się z nich mamrotanie. Powieki rozchyliły się delikatnie, a Namir przyszykował się na to, co miało nastąpić.

Zgodnie z jego przewidywaniami na obliczu dziewczyny wymalowało się przerażenie. Rozpaczliwie próbowała wykonać

jakiś ruch, chyba chciała się odczołgać, lecz moment później ponownie straciła kontakt ze światem. Kiedy było już po wszystkim, Namir zamknął oczy i odgonił irytujące myśli o czekającej na niego mrocznej potędze.

– Co z nią...? – Głos chłopaka zadźwięczał mu w uszach jak natrętny owad. – Co jej zrobiłeś?

Podniósł na niego spojrzenie, sprawiając, że ten głośno przelknął ślinę, po czym wyprostował się i zlustrował dziewczynę leżącą mu u stóp.

Drzemała, oddech miała miarowy. Czerwone place nakrapiały podrażnioną skórę.

– Zanieś ją do chaty.

Chłopak zamrugał i przez moment gapił się bezmyślnie. Potem schylił się do dziewczyny i unióśł ją w ramionach. Kiedy przyjrzał się z bliska uszkodzeniom jej ciała, skrzywił się zarówno z odrazą, jak i ze współczuciem. Namir znał ten wyraz twarzy aż za dobrze.

– Zanieś ją. – Pokazał ręką na główną chatę.

Chłopak był nadal oszołomiony, ale spełnił polecenie. Stojący opodal Randis przyglądał się całemu zdarzeniu z podejrzliwością typową dla tenare. Namir skrzywił się, wiedząc, że zwierzchnik Silvaru nie mógł tego zobaczyć. Rozłożył ręce.

– Czy nie tego oczekiwałeś?

– Co się kryje za twoją nagłą zmianą zdania?

– Nie licz na zbyt wiele. Zabierzecie się stąd, jak tylko dziewczyna się obudzi i dojdzie do siebie.

Randis westchnął.

– Po prostu nie rzucaj już nikim więcej o ziemię.

Świat jeszcze długo był rozmyty, a głosy stłumione. Powracanie do przytomności w niczym nie przypominało budzenia się ze snu, nawet takiego pełnego koszmarów. Najmniejsze światło razilo w oczy, które niemilosiernie piekły. Jeszcze kilkakrotnie opuszczała ją świadomość, a kurczowemu chwytaniu się jej towarzyszyły każdorazowo ściskające żołądek mdłości. Nie miała pojęcia, gdzie jest, a niepełne wspomnienia tego, co się zdarzyło, docierały do niej z trudem. Leżała na miękkim sienniku, do pasa przykryta drapiącymi kocami.

Gdy wreszcie odzyskała jasność umysłu i ostrość widzenia na tyle, by ujrzeć, co się przed nią znajduje, wstrzymała oddech.

W ciemnym pomieszczeniu przebywały trzy osoby. Wallace i zwierzchnik Silvaru przyglądali jej się z uwagą, stojąc w pewnej odległości za sylwetką siedzącą przy pryczy. Właśnie ta postać obudziła w niej uczucie obezwładniającego strachu. Patrzyły na nią oczy o różnej wielkości, oba przeraźliwie jasne, błyszczące w otworach zasłony. Skóra wokół nich była lekko naciągnięta. Długie ciało było okryte czarnym odzieniem. Dłonie w rękawicach sunęły nad jej odsłoniętym ramieniem, nie dotykając go; było od nich jasne światło, wytwarzane tuż przed materiałem.

Ivette spróbowała się poderwać, raptem poczuwszy potrzebę ucieczki. Uzyskała tylko pulsujący ból, który wyrwał z jej gardła cichy jęk.

Zamaskowana postać zabrała ręce; upiorne oczy patrzyły bez wyrazu.

— Uspokój ją.

Ivette poznała ten schrypnięty głos. Już nie taki zdeformowany jak przy komunikacji Nexamem, ale nadal prowokujący dreszcze na karku.

Wallace zbliżył się niepewnie — trzymał się od mężczyzny w czerni na dystans.

— Jestem tu, Iv. Nic ci nie grozi.

Dopiero się zorientowała, że jej oddech jest przyspieszony. Nie potrafiła spojrzeć na przyjaciela. Przeróżająca postać przyciągała wzrok wbrew rozsądkowi. Upiorne ręce w rękawicach cały czas wisiały w powietrzu. Powoli skinęła głową, przelknęła ślinę. Była prawie pewna, że ma obok siebie czarnego maga. Potwora z Damanor.

— Gdzie ja jestem? — wykrztusiła.

Mężczyzna bez słowa wrócił do naświetlania jej obolałej skóry uzdrawiającym blaskiem. Zwierzchnik w ogóle się nie odzywał. Po raz kolejny odpowiedział jej Wallace, lecz zrobił to ze sporym wahaniem:

— W bezpiecznym miejscu. — Zdawało się, że próbuje przekonać również siebie. — Już wszystko dobrze.

Pozwoliła sobie zamknąć oczy, nadal oszołomiona. Przynęła i ocknęła się — nie wiedziała, ile czasu upłynęło. Czarna sylwetka właśnie podniosła się z taboretu i skierowała do wyjścia. Jej miejsce szybko zajął zmartwiony Wallace. Chwyił ją za dłoń, a ona przemknęła spojrzeniem po swoim ramieniu. Widniały na nim jeszcze nieznaczne zaczerwienienia i ślady jak po wielu owadzych ukąszeniach. Prawa część szczęki i szyi mrowiła ją lekko — skóra w tych miejscach musiała wyglądać podobnie.

— Czy to był...?

— Tak.

— Pomógł mi?

Wallace ważył słowa.

– Tak sędzę.

Oparty o ścianę zwierchnik niczego nie komentował, jego oblicze wyrażało głębokie zamyslenie. Irvette obrzuciła spojrzeniem izbę.

Niedaleko dość długiej pryczy, na której spoczywała, był kominek uformowany w ścianie ze skalnej masy. Na nim – tak samo jak w podłużnej ściennej wnęcie nad wezgłowiem – piętrzyły się różnego rodzaju naczynia: cynowe, gliniane, porcelanowe i srebrne. Pod przeciwległą ścianą mieścił się – z pewnością wykonany przez tenare – wysoki stół, a przy nim taboret. Na blacie stało kilka zamkniętych przykrywkami słoje, obok trochę suszonych ziół i różnego rodzaju sztućców. Pod stołem kryły się niewielka skrzynia i wypełniony drewnkami kosz. U wejścia, na wystającym ze ściany paliku, wisiał płaszcz Irvette.

W otwartych drzwiach ponownie stanął czarny mag – przejście było dostosowane do jego wyjątkowo pokaźnego wzrostu. Irvette wytrzymała spojrzenie upiornych oczu. Wallace przesunął się wraz z taboretem, gdy mężczyzna zbliżył się do łóżka. W ściennej wnęcie złożył wypełnioną wodą miskę, szmatkę, puzderko i fiolkę.

Gdy jeszcze raz opuścił pomieszczenie, zwierchnik bez słowa podążył za nim. Dziewczyna została sam na sam z Wallace'em. Odetchnęła z ulgą. Chłopak pomógł jej usiąść. W głowie nadal jej huczało. Ściągnęła koszulę – została w samej halce. Omiotła wzrokiem swój tułów i oceniła, że pozostałości po skażeniu obejmują już tylko całą długość ręki. Przyjaciel podał jej misę z wodą i płócienną szmatkę. Obmyła skórę z brudu i śladów wymiocin, po czym przyjrzała się za-

wartości fiołki i przysunęła nos do jej szyjki. Rozpoznała po zapachu odwar z bukwicy, więc przystąpiła do smarowania nim podrażnionej skóry. Gdy skończyła, zainteresowała się maścią. Po otwarciu drewnianego pudełeczka zmarszczyła nos. Akurat ten zapach był trudny do zniesienia — nawet na niej robił nieprzyjemne wrażenie. Wallace odwrócił głowę, zakrywając usta dłonią. Z odrobiną zdumienia stwierdziła, że nie rozpoznaje tego specyfiku — ostra woń nie wyróżniała się żadną znajomą nutą. Breja była zielona i odrobinę grudkowata. Nasmarowała nią zaczerwienione miejsca, nie pomijając szyi i twarzy. Mimo swej nieszczególnie gładkiej konsystencji — po dokładnym rozsmarowaniu cienkiej warstwy maź szybko wsiąkała, a potraktowana nią skóra bledła i stawała się przyjemnie chłodna.

— Odpoczywaj, Iv — poinstruował ją Wallace, odbierając od niej pudełko. Pospiesznie je zamknął i odstawił w najdalszy kąt wnęki. — Zamknij oczy i niczym się nie przejmuj. Będę tu cały czas.

Położyła się i nakryła kocem, a jej spojrzenie powędrowało w kierunku drzwi. Kimkolwiek był zamaskowany czarny mag, musiała przyznać, że ocalił jej życie — nawet jeżeli myśl o jego dziwnych oczach napawała ją strachem.

Namir wspierał się o stół przy składziku, nie spuszczać wzroku z chaty. Myśli o dziewczynie nie dawały mu spokoju. Nadal było mu trudno zaakceptować fakt, że trójka intruzów wtargnęła do jego domu, i to pod przewodnictwem tenare, który cykle temu zagwarantował, że w tym lesie Namir będzie mógł dożyć końca swoich dni w absolutnym spokoju wynikają-

cym z odosobnienia. Niczego innego nie pragnął jak właśnie takiej spokojnej izolacji.

– Co możesz mi powiedzieć o jej skażeniu? – zapytał cicho.

– Wiem nie więcej niż ty – odpowiedział mu Randis opierający się o ścianę budynku za rogiem.

– Pod wieloma względami przypomina *Spellium*.

– Ale nim nie jest.

Namir odruchowo kiwnął głową, mimo że zwierzchnik nie mógł tego zobaczyć.

– Nie jest.

– To nie moje zmartwienie – odezwał się tenare – lecz ten chłopak to syn mojego dobrego przyjaciela, a dziewczyna jest mu bliska. Czy myślisz, że to coś wróci?

Pytanie, które zadał Randis, jego też nurtowało.

– Na razie zniknęło – rzucił, siląc się na obojętność. – Przygotuję wam potrzebne maści, jeśli za nie zapłacisz, a dalej musicie radzić sobie sami.

– Namirze... Żaden z nas nie wyciągnie z niej czarnej magii. – Randis złapał oddech i zamilkł na chwilę. – Ta dziewczyna powinna przez jakiś czas... zostać przy tobie.

– Zwariowałaś!

– Chociaż na kilka dni. Dla pewności. Jeśli skażenie nie powróci, zabierzemy ją stąd.

– A jeśli powróci? Oczekujesz, że nadal będę używać mocy, których używać nie powinienem? Chyba zdajesz sobie sprawę, czym ryzykuję. Nie rozumiem, jak mogłeś wpaść na to, by ją tu przywlec.

– Po tym, jak widziałem, co potrafisz zrobić z tymi mocami, miałem jej tu nie przywieźć...? Być może uwierzyłem,

że tym razem będziesz w stanie posłużyć się swoimi umiejętnościami w dobrym celu.

W Namirze narastała irytacja.

– Nagle zacząłeś we mnie wierzyć?

– Sytuacja zmusiła mnie do zmiany nastawienia.

– I dlatego teraz chcesz zostawić młodą dziewczynę w leżu potwora? – Twarz pod zasłoną przybrała kwaśny wyraz.

Randis westchnął przeciągle.

– Może twoje towarzystwo byłoby łatwiejsze do zniesienia, gdybyś skończył się nad sobą użalać.

Namir zaśmiał się krótko, chrypliwie.

– Nie chcesz zaczynać tej rozmowy.

– Co u Hasana? Sądząc po zgromadzonych tu rupieciach, nadal od niego kupujesz.

– Jestem zaskoczony. Wielki pan Silvaru interesuje się życiem potwora i średnio majątnego kupca.

– No już, skończ wreszcie z tym sarkazmem. Przestał robić na mnie wrażenie kilka oddechów temu.

– Hasan ma się dobrze. Jeśli nie brać pod uwagę jego zaszczutego umysłu. Zdaje się nadal obawiać, że jego kochana pani czyha na niego na każdym kroku.

Zwierzchnik głośno wciągnął powietrze. Namir poczuł gorzką satysfakcję. Dobrze – pomyślał – niech te wspomnienia podręczą również ciebie.

– Ona nie żyje – przypomniał Randis.

– W tym rzecz.

Pełną zadumy ciszę przerywało drażniące uszy skrzeczenie ukrytego gdzieś wśród niższych drzew ptaka.

– Być może ta dziewczyna to twoja szansa, Namirze. Szansa

na odkupienie śmierci, którą niegdyś zadałeś — zasugerował ostrożnie zwierzchnik.

Czarny mag wzdrygnął się na te słowa.

— Tej rozmowy również nie chcesz zaczynać.

Pan Silvaru wychynął zza rogu budowli i stanął naprzeciw niego.

— Ona nie ma nikogo innego, Namirze, a możliwe, że nadal potrzebuje pomocy. Jeśli chcesz jej odmówić, idź do niej i powiedz, żeby dalej radziła sobie sama.

Namir zmierzył tenare chłodno, po czym minął go szybkim krokiem i ruszył do chaty. Nie chciał tego. Nie chciał kłopotów. Pragnął jedynie świętego spokoju.

Stanąwszy w progu, utkwił spojrzenie w dwójce młodych ludzi. Chłopak w instynktownym odruchu położył dłoń na rękojeści ukrytej pod płaszczem szabli. Odwrócił się na taborecie — tak by zasłonić dziewczynę. Mimo że jego twarz pozostawała kamienna, w oczach gościł strach. Próbował sprawiać wrażenie silnego obrońcy. Dziewczyna jednak zupełnie zignorowała jego postawę. Przytrzymując koc nad piersiami, uniosła się na łóżku i wychyliła zza sylwetki Wallace'a.

Skóra na prawej części jej szczęki i szyi nadal była widocznie podrażniona i lekko opuchnięta, ale łagodzące działanie maści już robiło się widoczne. W najgorszym stanie było gołe ramię — jeszcze w plamach, ale teraz już nie czarnych, lecz czerwonych. Kasztanowe włosy, okalające piegowatą twarz z zadartym nosem, były rozrzucone w nieładzie, zmierzwione kosmyki wymykały się z rozpadającego się warkocza. Do Namira nagle dotarło, od jak wielu cykli nie widział ludzkiej kobiety.

Patrzyła na niego ze słabo skrywaną niepewnością, jednak brodę, którą jeszcze tak niedawno miała brudną od wymiocin, trzymała wysoko. Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, wytrzymała zaskakująco długo, nim opuściła wzrok. Wyglądała na bardzo młodą, na oko dawał jej jakieś dwadzieścia cykli, miała przed sobą kawał życia. Czy warto było ryzykować, odsyłać ją mimo braku pewności, że skażenie nie wróci? Czy tak wielkim poświęceniem było wytrwanie w jej obecności kilku dni – nawet tylko po to, by tej pewności nabrać? Stawiał sobie te pytania i coś zaczęło się w nim łamać.

– O co chodzi? – Głos chłopaka uświadomił Namirowi, że od kilku długich oddechów stoi w drzwiach bez słowa, bacznie popatrując na swoich gości. Ten młokos był zapewne niewiele starszy od dziewczyny...

Namir szybko uspokoił gonitwę myśli i przemówił szorstkim tonem do Irvette:

– Musisz tu zostać kilka dni, pani.

Rozdział V

Irvette nie mogła uwierzyć, że Wallace jakoś dał się namówić na ten szaleńczy pomysł. Sama miała wątpliwości, czy postępują słusznie, lecz zwierzchnik Silvaru wyjaśnił jej, że przez jakiś czas musi być pod obserwacją, na wypadek gdyby jej choroba – czymkolwiek była, a to nadal pozostawało tajemnicą – miała powrócić. Początkowo Irvette zaproponowała, by w takim razie Wallace został razem z nią, ale to wzniciło w oczach czarnego maga taki gniew, że straciła ochotę na forsowanie swojego pomysłu. Ten mężczyzna nie chciał na terenie swojej pustelni nikogo obcego. Jej również.

Wallace miał wybrać się ze zwierzchnikiem Silvaru do O'rior – miasta leżącego dzień jazdy od tego lasu. Tam miał czekać, aż tenare zdecyduje, że mogą już po nią wrócić. Nie było innego wyboru – oboje musieli zaufać osądowi długowiecznego, tak jak zrobili to wcześniej.

Wallace przyprował do pustelni białego wierzchowca Irvette, z grzbietu zdjął mu worek z jej skromnym ekwipunkiem i zaniósł go do chaty. Kiedy zostali znów sami, wyściskał ją za wszystkie czasy, kazał na siebie uważać i podarował jej swój sztylet. Poradził, by schowała go pod poduszką i nie przyznawała się, że posiada broń. Choć w obu butach miała specjal-

ne kieszonki — w jednym na mały, zakrzywiony nożyk do ziół, w drugim zaś na dłuższe i szersze ostrze — nie mogła wykorzystać ich do przechowania broni od przyjaciela, jako że rękojeść sztyletu Wallace'a częściowo wystawałaby z tych niepozornych schowków. Obuwie to wykonał dla niej znakomity szewc z Cirem, który brał od niej za swe usługi połowę ceny, odkąd podniosła jego żonę praktycznie z łoża śmierci, ale i tak posłuchała rady Wallace'a i ukryła sztylet pod poduszką.

Kiedy odjechali, zapadał już zmrok. Do tego czasu raz jeszcze nasmarowała podrażnioną skórę śmierzdzącą maścią. Czuli się znacznie lepiej i mogła poruszać się bez zawrotów głowy. Zniknęło też odrętwienie palców. A jednak nie spieszyło jej się do wstawania z łóżka — w nim czuła się najbezpieczniej, otoczona kocem i blaskiem bijącym z kominka.

Do tej pory nie poznała imienia czarnego maga, o ile w ogóle jakieś nosił. On sam okazał się inny od jej wcześniejszych wyobrażeń na jego temat. Nie mogła się nadziwić, że mężczyzna, który tak sprawnie prowadził kąśliwą dyskusję ze zwierzchnikiem Silvaru, nagle stał się lodową górą — niewydającą z siebie prawie żadnych odgłosów. Nie narzekała z tego powodu, przeciwnie nawet: w tej chwili nie miała ochoty na rozmowy z jego udziałem i była wdzięczna, że zostawił ją w chacie samą. Dzięki temu otrzymała szansę oswojenia się z nową sytuacją.

Wrócił nie wiadomo skąd, kiedy już przysypiała. Wtargnął do chaty bez pukania, wyrrywając ją z pólśnu i wzmagając bicie serca. Spojrzała na niego z wyrzutem spod koców, co umiejętnie zignorował. Wśród tańczących po izbie cieni jego wysoka, odziana w czerń postać wyglądała jeszcze upiorniej. Jasne oczy

błyszczały w otworach zasłony jak ślepiec bestii z najstraszniejszych koszmarów.

Na stole postawił miskę pełną parującej zupy pachnącej mięsem, po czym ulotnił się z pomieszczenia. Zsunęła nogi z łóżka i przez moment zastanawiała się, czy miał motyw, by ją otruć – po tym, kiedy dopiero co ją uratował. Nie mogła wiedzieć, czy nie zmienił zdania odnośnie do jej pobytu w pustelni. Dlatego gdy już usiadła na wysokim taborecie przy stole – ledwo sięgała posadzki czubkami palców – ostrożnie nabrała łyżkę strawy i najpierw powąchała intensywny zapach. Następnie zamoczyła jedynie usta w zupie i oblizwała je, by poszukać podejrzanych smaków. Nie odkryła nic, co mogłoby wzbudzić niepokój. Powoli zabrała się więc za jedzenie. Spojrzała na kolekcję sztucców wiszącą na ścianie, na najróżniejsze kształty, kolory i tworzywa, i pomyślała o srojach gromadzących przedziwne rupiecie, a zaraz potem o smokach pilnujących błyszczących skarbów.

Prędko pochłonęła całą zawartość miski, nawet wypła resztki z dna. Zupa pięknie wypełniła pusty żołądek i ku jej zadowoleniu – nie wywołała nowych mdłości.

Irvette włożyła świeżą koszulę, którą wygrzebała ze swojego podróżnego worka. Poprzednią spaliła w kominku – nie wiedziała, kiedy miałyby okazję ją wyprać, a niemilosiernie cuchnęła rzygowinami. Do spania udała się w ubraniach wierzchnich. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zabarykadować drzwi, ale zrezygnowała z tego pomysłu – zastanowienie to trwało nie dłużej od mgnienia oka.

Sen przyszedł szybciej, niż się spodziewała – zmęczenie wygrało z niepokojem.

Ocknęła się o świcie, nieco obolała i z szumem w uszach. Podwinęła rękaw koszuli i zobaczyła, że skóra wygląda dużo lepiej: już nie było na niej śladów jak po wielu ukąszeniach. Czerwone place ładnie zróżnowiały — oceniła, że chyba naza-jutrz powinny zniknąć. Dotknęła twarzy, następnie szyi. Nie wyczuła żadnego obrzęku czy mrowienia, ale i tak sięgnęła do trzymanego przy łóżku worka, by wyciągnąć z niego małe lusterko. Obejrzała się w nim — na widok swojego oblicza lekko zmarszczyła czoło. Oczy miała podkrążone, a prawą część szczęki jeszcze lekko zaczerwienioną. Wygrzebała z worka grzebyk i rozczesała roztrzepane włosy, ale zostawiła je rozpuszczone.

Wygramoliła się spod koca i wzdrygnęła na widok posiłku już czekającego na nią na stole. Potwór z Damanor przygotowuje mi strawę — pomyślała z nieco histerycznym rozbawieniem. Nadal potrzebowała czasu, by odnaleźć się wśród tylu nowości. W ciągu ostatniej fazy została wielokrotnie wzgardzona i wyrzucona za drzwi, gdy szukała pomocy. Udała się do królestwa, którego mieszkańcy od setek cykli trwali w uprzedzeniu do ludzi, otarła się o śmierć i ostatecznie uzyskała pomoc u czarnego maga — osoby takiej samej jak ta, która władała mocą odpowiadającą za jej chorobę.

W misce z posrebrzanej zastawy odkryła gęstą owsiankę, słodką od miodu. Nie powstrzymała głupowatego uśmiechu, a kiedy zjadła, schowała twarz w dłoniach, by zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami. Była na siebie zła, że poddała się takiemu rozemocjonowaniu — zdecydowała się wyjść na zewnątrz, aby nieco ochłonąć.

Miała w końcu sposobność rozejrzeć się po okolicy. Polana — otoczona gęstniejącym stopniowo borem w oddali zlewającym się w czarną ścianę drzew — była gdzieś usiana karłowatą roślinnością. Konary odstające od pni porastających skraj samotni układały się w kopułę odsłoniętą pośrodku, więc promienie słońca dostawały się przez nią swobodnie i docierały do całej polany. Chata, w której dotąd przebywała Irvette, była utrzymana w charakterystycznym tenarskim stylu, uformowana w pokrytej mozaiką szarości skalnej masie — niczym odlana idealnie forma kanciastej bryły. Druga, mniejsza budowla składała się z dużych gładkich bloków. Na jej tyłach wybudowano piec — niezbędny dla każdego zielarza niemal tak samo jak dla kowala. Ten tutaj miał szerokie palenisko, nad którym Irvette mogłaby warzyć wiele specyfików jednocześnie. Oba budynki, choć z wyglądu surowe i solidne, miały w sobie również jakieś hipnotyzujące piękno. Na podwórku znajdowały się także spore usypisko z drzwiami skrywającymi jakieś pomieszczenie i ogródek z wieloma grządkami. Dostrzegła tam niemało wschodzących dopiero ziół, ale już rozpoczynających walkę z silniejszymi chwastami. Być może gdyby nie roztaczający się dokoła mroczny las, miejsce nie wydawałoby się nawet w połowie tak nieprzyjazne.

Czarnego maga nie było nigdzie w pobliżu. Irvette nie miała pewności, czy chce wiedzieć, gdzie on jest i czym się zajmuje. Postanowiła wykorzystać sytuację, by dokładniej się rozejrzeć.

W skrzyniach stojących przy opartym o drugi budynek stole — zdecydowanie za wysokim, żeby mogła przy nim wygodnie pracować — znalazła pokaźne zapasy mikstur i wypełnione różnobarwnymi substancjami oraz fragmentami roślin słoje.

Na ścianie budynku wisiało trochę suszonych ziół, a jeszcze więcej dostrzegła wewnątrz – zostały rozwieszone nad zagraco-
ną fiolkami i płóciennymi woreczkami ławą, niższą niż stół
na zewnątrz. Znajdowała się tu również długa prycza zasłana
kocami oraz skórami, a wokół niej zbiorowisko przeróżnych,
mniej i bardziej cennych rzeczy. Naczynia, luxańskie dywany,
pękate sakiewki – wypchane najpewniej monetami. Jeszcze
więcej szczelnie pozamykanych sło i skrzyń, kosze przykryte
chustami – w środku odkryła kolejne składowiska przedmio-
tów o rozbieżnej wartości i zastosowaniu – oraz zwisające
ze stropu talizmany i łapacze snów. Do ściany przyciśnięty był
regał zastawiony grubymi tomiskami, cienkimi książeczkami
i następną stertą pojemników i różności. Przez cały ten bałagan
ciągnęła się jedynie wąska ścieżka, której jedna odnoga prowa-
dziła do pryczy, druga zaś do ławy.

Po wycofaniu się z izby raz jeszcze zbadala wzrokiem pola-
nę, po czym skierowała się do usypiska. Zatrzymała się
w otwartych drzwiach, przy których wisiała pochodnia, lecz
nie było jej jak zapalić. Odczekała chwilę, a gdy uznała, że nikt
jej nie obserwuje, zesła do środka po kilku kamiennych schod-
kach. Poruszała się w snopie światła słonecznego, który wpadał
przez otwarte drzwi. Nie widziała, co znajduje się w głębi po-
mieszczenia, lecz zainteresowały ją półki wydrążone w ziemistej
ścianie przy wejściu i wysoki strop umocniony solidną kon-
strukcją z konarów i gałęzi. Na półkach stały skrzynie i słoje, bił
od nich chłód, niektóre pokrywała warstewka lodu. Znalazła
w skrzyniach zarówno mięso, jak i nabiał. Po tych oględzinach
wyszła na zewnątrz tak zamyślona, że niemal wpadła na wysoką
postać.

Nie bez trudu złapała równowagę i wstrzymała oddech, przesyta wrogim spojrzeniem. Nie wiedząc, co powiedzieć, wyminęła mężczyznę i wróciła do chaty. Zamknąwszy za sobą drzwi, oparła się o nie i spróbowała przegonić obawy, bo w jej obecnym położeniu mogłyby ją przyprawić o postradanie zmysłów...

Randis i Wallace wyruszyli z kryjówki potwora, kiedy zapadał już zmrok, musieli więc zrobić postój w gęstwinie mrocznego boru. Wallace nie pamiętał koszmarów, jakie nawiedziły go tej nocy, ale obudził się spocony i z szumem w głowie. Z lasu wydostali się nazajutrz – zaraz po wschodzie słońca.

Całą drogę do fortu chłopakowi towarzyszyły myśli o Irvette. Przemierzając jard za jardem, coraz bardziej żałował, że przystał na propozycję potwora. Zwierzchnik namawiał go prawie świecę, tłumacząc, że jest to rozwiązanie konieczne, jeśli wszyscy chcą zyskać pewność, że skażenie Iv nie powróci. Ale ani zwierzchnik, ani zamaskowany nie potrafili mu powiedzieć, czym ono właściwie jest. To napawało go jeszcze większym niepokojem, a w myślach ciągle widział te upiorne oczy. Modlił się do Mestyrii i pomniejszych bogów, by trzymali jego przyjaciółkę w opiece. Wielokrotnie dopytywał pana Silvaru, czy na pewno można wierzyć, że Namir nie zachowa się wobec dziewczyny jak najgorszy rodzaj bestii. Tenare robił wtedy dziwną minę i odpowiadał, że akurat o to Wallace nie musi się martwić.

Dotarcie do O'rior zajęło im niemal cały dzień. Do zmierzchu zostały jakieś dwie świece, kiedy leśną drogą dostali się na trakt wychodzący na rozległą dolinę. Za zielonym trawia-

stym terenem zaczynała się następna część szerokiego na setki stóp boru, a na jego skraju rysowały się wysokie mury miasta.

Zabudowania były otoczone przez głębokie rowy, z których sterczały ostre jak kolce korzenie wyrastające z głębi ziemi. Do bramy puszczony był zwodzony most, a mury zdawały się nikać pomiędzy drzewami. Wśród koron rozpościerały się platformy łączące się między sobą linowymi mostami. Kręcili się tam strażnicy wyposażeni w łuki i Wallace zgadywał, że w istocie jest ich dużo więcej, niż był w stanie zaobserwować. Kryli się między gałęziami – w przyklejonych do pni posterunkach.

W dole miasto prezentowało się surowo, chociaż pomiędzy domami uformowanymi z kamiennych bloków i skalnej masy nie brakowało roślinności. Wśród alejek panował porządek, tenare zajmowali się swoimi sprawami w ciszy z rzadka przerywanej rozmowami. Chociaż miasto nie należało do małych, ulice nie były zatłoczone. Spotkali w nim niewielu ludzi, w przeważającej części kupców.

Tak jak w Cirem poszczególne alejki zamieszkiwane były przez konkretnych rzemieślników, tak i w O'rior można było doszukać się pewnego schematu. Najpotężniejsze budowle, przeznaczone dla żołnierzy oraz magów specjalizujących się w walce, znajdowały się w centrum miasta, skąd stopniowo rozchodził się pierścień mniejszych, piętrowych domów, sklepów i warsztatów rzemieślniczych. Jeszcze dalej sytuowały się drewniane chaty, ogrody i sady. Wszystko to, czego Wallace dowiedział się od ojca i nauczyciela sprowadzanego do domu, teraz mógł odkrywać sam, a w razie wątpliwości podpytywał zwierzchnika.

Najwięcej kobiet przebywało w ostatnich kręgach miejskiego pierścienia. Pracowały przy roślinach i zwierzętach, z którymi miały szczególną więź dzięki wrodzonemu talentowi do posługiwania się żywiołem ziemi. Te, które nie posiadały magicznych umiejętności, służyły pozostałym kobietom pomocą lub zajmowały się swoimi interesami. Wśród mężczyzn – magowie okupowali każde możliwe stanowisko: nie tylko w O’rior, ale i w całym królestwie. Byli naczelnikami fortów, dyplomatami i doradcami, budowniczymi, a także zwykłymi strażnikami czy rzemieślnikami. Spora ich część wstępowała do Strzegących – oddziałów pilnujących najgłębszych podziemnych tuneli, których odnogi, jak wierzono, prowadziły do ukrytego we wnętrzu ziemi legowiska smoczyca Varanside. Tymczasem ludzcy magowie oddawali się głównie nauce i bardaniom. Wojsku królestwa służyli tylko w wyjątkowych sytuacjach, a nieliczni zasiadali wśród doradców królów i diuków.

To, co jeszcze rzucało się Wallace’owi w oczy, to rozsypane po mieście kapliczki Mestyrii, przedstawionej oczywiście na tenarski sposób. Wysokie i smukłe kolumny z wyrzeźbionym na nich wizerunkiem dziwnej, acz pięknej bogini piętrzyły się po same korony drzew. Obok nich mieściły się czasami mniejsze pomniki Caitriony – ukazanej jako tenare. Rasa tej legendarnej kobiety od zawsze stanowiła kwestię sporną.

Koniec darmowego fragmentu książki.

Zachęcamy do zakupu pełnej wersji.